Nr. 12. Poznań, niedziela 22-go marca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Piekary nr. 6. Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Zwycięstwo robotników kolejowych w Szwajcaryi

Jednocześnie prawie z wybuchem rozpaczy wyzyskiwanych niemiłosiernie robotników w krawiectwie berlińskiem, stoczyli walkę o podwyżkę płacy robotnicy kolejowi w Szwajcaryi. Dla bacznego spostrzegacza porównanie tych dwóch zatargów nastręcza wiele bardzo ciekawych objawów: tam porywają się nagle do walki ludzie, o których już można było zwątpić, czy kiedykolwiek zdobędą się na jakiś krokśmiały, tak byli zgnębieni, przyznajemy, zdemoralizowani, tu występują ludzie pracujący z całą świadomością celu od lat kilku; tam tak zwana opinia publiczna rozpływa się w sentymentalnej sympatyi dla strejkujących, ale to się kończy na frazesach pustych i dla braku poparcia muszą pariasi ustąpić, osięgnąwszy zaledwie cząstkę swych żądań, których słuszność przyznawali prawie wszyscy, tu robotnicy nie oglądają się na nikogo, liczą tylko na siebie, na swoją niewzruszoną solidarność i osięgają wszystko bez walki nawet; tam przedstawiciele rządu, przyznając, że jest bardzo źle, nie zdobywają się nawet na tak drobne środki, jak otoczenie robotników i robotnic opieką inspekcyi fabrycznej, bo biurokratom wydaje się niepodobieństwem przeprowadzenie dozoru z powodu, że robotnicy nie pracują w wielkich zakładach (jesteśmy przekonani, że to, co ministrowie uważają za zgoła niemożliwe, komitet jaki robotniczy, posiadający zaufanie, przeprowadziłby z łatwością), tu rząd demokratyczny rozstrzyga jednem słowem kwestyę na rzecz robotników. Sądzimy przeto, że nie od rzeczy będzie rozejrzeć się bliżej w tym ruchu robotników kolejowych, a raczej powiedzmy pracowników, gdyż — co znowu dla czytelnika polskiego powinno być prawie niepojętem — cały personel kolejowy od smarowacza do inżyniera był tu solidarnym. Czerwona czapeczka pana naczelnika stacyi uważała za stosowne dla siebie towarzystwo zatłuszczoną bluzę.

Organizacye istniały już dawno śród tych pracowników, ale organizacye rozstrzelone, słabe liczbą i duchem. Były tam stowarzyszenia „oficyalistów“, do których należeli urzędnicy biur, kasyerzy, inżynierowie itp., stowarzyszenia maszynistów i ich pomocników, konduktorów, robotników warsztatowych itd. Miały one rozmaite cele, np. zakup artykułów spożywczych po niższych cenach dla stowarzyszonych, przestrzeganie swoich odrębnych interesów, a niekiedy wspólną zabawę towarzyską. Przed trzema laty mniej więcej rozpoczął się ferment; do trzody poczciwych baranków kolejowych dostali się agitatorzy socyaldemokratyczni. Rezultatem było przyłączenie się bardzo wielu robotników do ogólnych krajowych związków robotniczych, a wkrótce założenie ogólnego związku robotników kolejowych. Przekonano się, że wszystkie owe miniaturowe stowarzyszenia, mające na celu popieranie materyalnych interesów swoich członków, nigdy nie będą w stanie osięgnąć jakichkolwiek poważniejszych rezultatów. Pierwszym więc krokiem było rozszerzenie owego związku ogólnego, do którego przystępowały oddzielne organizacye, i w tym celu ustanowiono sekretaryat generalny, którego przeznaczeniem miało być doglądanie wspólnych wszystkim pracownikom interesów, a jednocześnie założono organ specyalny „Schweizerische Eisenbahn-Zeitung“. Znalezienie człowieka, któremu można było powierzyć kierownictwo organu i urząd sekretarza, nie było rzeczą łatwą. Wybór padł na wykształconego prawniczo i ekonomicznie dra Sourbeck, berneńczyka, który nie znalazłszy w kraju odpowiedniego swoim uzdolnieniom zajęcia, przebywał od dłuższego czasu w Egipcie. Wybór był świetny i człowiek pióra nie zawiódł nadziei ludzi pracy fizycznej. Energiczny, pełen taktu, niezmordowanej pracy, umiejący pozyskiwać sobie zaufanie i miłość, młody doktor dopiął celu. Związek pracowników kolejowych w przeciągu dwóch lat objął znaczną liczbę wszelkich gałęzi na wszystkich kolejach.

Kto zna życie robotnika, ten tylko może ocenić trudności, z któremi walczyć wypada takim organizatorom. Trzeba nietylko zagrzewać ludzi obojętnych do zrozumienia własnych interesów, ale jednocześnie powstrzymywać biedaków, którzy zniecierpliwieni, chcą natychmiast ten lub ów cel osięgnąć, znieść jakieś nadużycie, które im się dało we znaki, zażądać jakiejś doraźnej, choćby drobnej ulgi. Wtedy siły rozpryskują się i o ogólniejszych celach marzyć nie można. Wódz robotników tym razem umiał uniknąć tych trudności i prowadzić cicho i spokojnie swoją robotę „przewrotową“, jak powiedzą jedni, humanitarną i zacną, jak mają prawo mówić inni.

Najgorszem było położenie robotników na kolei centralnej szwajcarskiej, gdzie zarobek dzienny wynosił tylko 3 franki dziennie (przeciętna płaca wyrobnika waha się w Szwajcaryi ogólnie pomiędzy 3—4,50 fr.) a praca trwała godzin 12 (ogólny dzień roboczy w fabrykach prawo normuje na godzin 11). Przytem działy się ciągłe nadużycia przy awansach itp. Tu więc postanowiono zrobić początek i ogłednej pracy sekretaryatu udało się wymódz na zarządzie tej kolei pewne ustępstwa. To dodało otuchy i postanowiono przystąpić do akcyi ogólnej.

Jakkolwiek położenie robotników wspomnianej kolei było najgorsze, to przecież i na innych liniach nie jest ono świetnem. — W Szwajcaryi, jak wogóle na zachodzie, wyzysk nie dotyczy wyłącznie robotników w ścisłem, upowszechnionem u nas znaczeniu. Oto np. kilka cyfr z towarzystwa „złączonych kolei szwajcarskich“, które eksploatuje kilka linii wewnętrznych. Towarzystwo zatrudnia 1100 ludzi, z tych 27 zarabia mniej niż 1000 fr. rocznie, 473 zarabia do 1500, 291 do 2000, 153 do 2500, 80 do 3000, 27 do 3500, 43 do 4000 fr. i tylko 11 wyższe płace. Prezes zaś towarzystwa pobiera 20 tysięcy franków, podczas kiedy siedmiu naj.

wyższych urzędników państwowych, członków rady związkowej, których funkcye odpowiadają funkcyom ministrów, otrzymuje tylko po 12 tysięcy franków pensyi.

Robotnicy tedy postanowili postawić ogólne dla wszystkich kategoryi pracowników wszystkich linii żądania następujące: 1) podwyżkę płac poniżej 2000 fr. o 25 proc., płace od 2 do 3000 fr. o 15 proc., od 3 do 4000 o 10 proc. 2) Uregulowanie stosunków służbowych w ten sposób, aby awanse następowały w oznaczony z góry sposób, przyczem maximum płacy w oddzielnej branży osiągano po upływie 20 lat służby. 3) Wprowadzenie 10-godzinnego dnia roboczego i zawarowanie dni wolnych od służby. W celu obradowania nad temi żądaniami i środkami do osiągnięcia ich wyznaczono w listopadzie roku ubiegłego zjazd w Luzernie, na który przybyło 800 delegatów oddzielnych grup związku. Zgodzono się na owe żądania i postanowiono zagrozić bezrobociem na wiosnę, jeżeli dyrekcye nie zechcą ich uznać. Do pertraktacyi wyznaczono delegacyą z czterech ludzi, którzy mieli reprezentować cały związek; żadna z organizacyi specyalnych, ani robotnicy poszczególnych linii nie mieli prawa wchodzić oddzielnie w układy.

Rozpoczęły się tedy pertraktacye, albo raczej nie zaczęły się zgoła, gdyż po długich wykrętach zarządy oświadczyły kategorycznie, że nie uznają „samozwańczego“ komitetu, że gotowe są układać się oddzielnie, każde ze swoim personelem. Jednocześnie starano się wprowadzić rozdwojenie pomiędzy robotnikami, obiecując najważniejszym grupom, np. maszynistom, zwrotniczym itd., których zastąpić nie łatwo, większe podwyżki niż żądano ogólnie i spodziewając się tym sposobem zyskać czas dla zastąpienia mniej ważnych oddziałów świeżemi siłami. Nic to nie pomogło — robotnicy stali murem.

W końcu stycznia delegacya związku zwróciła się do pana Zemp, dyrektora wydziału kolejowego w radzie związkowej, co według naszych pojęć odpowiada ministrowi komunikacyi, prosząc go o pośrednictwo, na co się chętnie zgodził. Zwołał więc zjazd przedstawicieli zarządów kolejowych i przekładał im, że skoro konstytucya państwa uznaje prawo koalicyi w całej rozciągłości, więc też i zarządy nie mogą nie uznać delegacyi, której robotnicy powierzyli przedstawicielstwo. Nic to nie pomogło, dyrekcye stały przy swojem i zjazd skończył się niczem. Robotnicy jednakże nie dali się zatrwożyć. Rozesłano komunikat, wzywający do imiennych podpisów na żądania postanowione i oświadczenie, że podpisujący gotów jest do bezrobocia w razie uporu dyrekcyi. Na 20,000 przeszło pracowników kolejowych 95 proc. podpisało. Zarządy ogłosiły, że chwycą się dla odparcia środka ostatecznego i wydalą wszystkich, którzy nie zechcą wystąpić ze związku. Robotnicy przyjęli to ironią i oburzeniem.

W końcu, 17-go lutego w niedzielę, zwołano nowy zjazd robotników do Aarau. Była to wspaniała manifestacya, jakiej nie widziała jeszcze ojczyzna Tella. Od rana przybywały pociągi specyalne wiozące robotników. Oddział za oddziałem z muzyką i czerwonym sztandarem przybywał na plac przed starożytnym ratuszem. 10,000 robotników zainteresowanych i do 5000 widzów słuchało z natężeniem mów delegatów.

Dr. Sourbeck przeczytał rezolucyę: pozostawiamy dyrekcyom czas do pierwszego marca, jeżeli do tego dnia nie stanie układ z nami, chwycimy się środka ostatecznego, upoważnimy delegacyę do uorganizowania bezrobocia. Rezolucyę przyjęto z niesłychanym entuzyazmem. Wówczas mówca jeszcze raz wezwał uczestników do zastanowienia się, nim powezmą ostateczną decyzyę, tak doniosłą dla wszystkich i niebezpieczną dla każdego, przypomniał, że kto teraz głosuje za rezolucyą, musi przystąpić do bezrobocia i wytrwać do końca. Jeszcze raz odczytano rezolucyę i wezwano tych, co chcą oświadczyć się za nią: Dziesięć tysięcy prawie wzniosło się w górę; wezwano stronę przeciwną — nie było nikogo. Więc kwestya była postawioną na ostrzu noża.

Dyrekcye nie zapoznawały groźności położenia i niektóre oświadczyły gotowość do układów. Najważniejsze atoli Towarzystwo eksploatujące linię „północno-wschodnią“ i teraz jeszcze wręcz odmówiło wszelkich układów. W towarzystwie tem dzieją się niekiedy rzeczy dziwne. Oto np. przed rokiem usiłowano w zarządzie przeprowadzić kilka projektów: budowę kilku linii podjazdowych, zwiększenie taboru, rozszerzenie głównego dworca w Zürichu itp. Za projektem oświadczyła się znaczna część zarządu reprezentująca akcyonaryuszów krajowych, w których interesie leżały te projekty, bądź że byli interesowani przy dostawach, bądź że spodziewali się korzyści z nowych linii. Ostatnie leżały też w interesie kraju. Jednakże akcyonaryusze zagraniczni, przeważnie kapitaliści z Frankfurtu i Berlina, których jedynym interesem jest wysoka dywidenda, oparli się. Ręka w rękę z nimi szedł prezes pan Guyer-Zeller, przy ich pomocy zwalił dawny zarząd i przeprowadził wybory swoich kreatur. Tem samem oddał się on w ręce owych akcyonaryuszów na łaskę i niełaskę, a ci będąc w obecnym wypadku mniej niż inni zależni od opinii publicznej w kraju, która stanęła po stronie pracowników, byli zapewne głównymi rzecznikami oporu. Dla prezesa więc chodziło o „być albo nie być“. Zwycięstwo robotników dla niego osobiście musiało być klęską, bo zwracało przeciw niemu całą ową decydującą grupę międzynarodowych spekulantów — akcyonaryuszów. Nic więc dziwnego, że chwytał się środków walki nie zupełnie godnych wielkiego towarzystwa. Naprzód więc usiłował działać strachem, rozsiewając przez oddaną sobie prasę, że ma już zupełnie gotowy nowy personel, i jeżeli robotnicy doprowadzą do ostateczności, wydali wszystkich. Jednakże komitet robotniczy, mając swoich ludzi prawie na wszystkich stanowiskach, wiedział, że z pogróżek tych drwić można. Potem, gdy po zjeździe w Aarau inni członkowie zarządu, na wzór pozostałych towarzystw, chcieli podać rękę do zgody, pan Guyer-Zeller użył tego samego, co niegdyś ks. Bismark środka. Wiadomo bowiem jak przez zmianę kilku wyrazów kanclerz pruski przerobił depeszę cesarską z Ems „z szamady w fanfarę“ i tem dopiął wypowiedzenie wojny ze strony Francyi. Tak samo pan prezes zmieniając redakcyę referatu z posiedzenia zarządu uniemożliwił porozumienie. — W ostatniej jeszcze chwili 29 lutego, w ostatnią sobotę, wyznaczył

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy).

Czwartego dnia polepszyło się nieco Loli, przynajmniej o tyle, że już mówiła rozsądnie.

Kazała zawołać ojca do siebie, i ku wielkiej radości starego, powitała go już zdala uśmiechem.

— Nie bój się ojcze, mnie już nic nie jest — zauważyła na wstępie. — Głowa mię jeszcze boli troszkę, ale zobaczysz, że już wstanę.

Borajski uśmiechnął się i pogładził córkę po twarzy.

— A co ojcze nowego? — pytała Lola dalej — a co?

— Ha, no cóż.... nic.

— Franciszek mówił co ojcu?

— Mówił — odpowiada stary, spuszcza oczy i wkręca kościanny guzik w kołdrę jak śrubę. Jest o tyle delikatnym, mimo że tego w jego rzemiośle nie uczą, iż chorej córce najlżejszym wyrzutem przykrości nie chce zrobić.

Więc Lola pyta sama dalej:

— Mój tatku, powiedz, co ci mówił pan Franciszek?

— No, nic.... ot, tak sobie. Może ci podać lekarstwa?

— Nie, ja chcę wiedzieć, co on mówił.

— Mówił... no, mówił... że chciałby jeszcze pojechać gdzieś uczyć się, zwiedzić trochę świata.

— A więc powiedział, że mnie już nie chce. Tak. Domyślałam się, że tak zrobi. Bardzo słusznie, on jest za dobry i za poczciwy dla mnie. Ale inaczej być nie może. Ty wiesz ojcze, dla czego się to stało.

— Coś mi tam matka przebąkiwała. Ten Dyniecki....

— Tylko proszę cię, nie powtarzaj, co matka mówiła, bo będę znowu słaba.... Ja ci lepiej sama wszytko opowiem. Ja kocham Dynieckiego i albo on będzie moim mężem, albo nikt inny. Nieszczęście chciało, żem się pogniewała niedawno na niego.... dla czego? Mniejsza o to, dość, że potem z gniewu i zgryzoty dałam mój pierścionek Smolarzowi. Tymczasem widzisz ojcze, przedwczoraj, czy kiedy to było....

— Jeszcze w sobotę, nie przedwczoraj.

— Tak, w sobotę. Otóż w sobotę stało się ze mną coś dziwnego. Ja ci tego opisać nie mogę.... Ty musisz się już reszty sam domyślić.

Borajski, w obawie, aby córce się nie pogorszyło, całuje ją prędko w czoło i powiada:

— Ależ wiem, wiem.... ja już dawno domyśliłem się wszystkiego.... Tylko nie ruszaj się, nie martw, nie gryź, abyś nie zachorowała na nowo. Później wszystko będzie dobrze.

— Więc zgadzasz się ojcze?

— Ależ zgadzam się, zgadzam; dobrze, doskonale, czemużby nie.

— Dziękuję ci. — Ujęła jego rękę i pocałowała ją kilkakrotnie.

Potem prosiła go, aby przywołał Smolarza.

— Możeby to zostawić na kiedyindziej? — zapytał stary.

— Nie, nie, zaraz — zaprzeczyła Lola. — On się gniewa na mnie. Ja nie chcę, żeby on się na mnie gniewał. Gdy się z nim rozmówię, będę zaraz spokojniejsza.

Zawołano Smolarza.

Przyszedł wprost od roboty osmolony, w codziennej bluzie. Pył węgla poczernił mu łuki pod oczami, przez co nadał zgnębionemu obliczu chłopaka wyraz ponury.

Smolarz był istotnie zmieniony, zachował jednak twardy spokój.

Rozgrzano go do białości i oblano nagle zimną wodą. Znał ten przebieg dobrze; tak hartował on stal w pracowni, tak zahartowano i jego samego. Chciał też i zahartowanym pozostać. Mimo wrodzonej łagodności charakteru, zaciął się i zobojętniał dla wszystkich i wszystkiego; zostało w nim jeno niejasne, bezwiedne poczucie obowiązku i konieczności pracy, która daje zapomnienie. Z szeregu rozmyślań wyłoniła się jedna myśl: „po co ja o tem myślę“. Z szeregu rojeń i pragnień została jedna prośba do Boga: „nie mieć już nigdy żadnego pra-

50,000 franków na podwyżkę płacy dla robotników w warsztatach kolejowych, żądając od nich cofnięcia podpisów i zarzeczenia, że nie przystąpią do bezrobocia. W ten sposób można było rzeczywiście wyjść z matni; w warsztatach bowiem pracują ludzie, którzy są przygotowani do objęcia posad maszynistów na parowozach i palaczów. Mając tę część służby, można łatwo puścić pociągi, bo kandydatów na posady konduktorów, do których nie trzeba specyalnych uzdolnień i przygotowania, gdyż jako tako tę funkcyę może spełnić każdy mniej więcej inteligentny człowiek, jest zawsze bez liku. Pozostawali zwrotniczy, lecz tu liczono na popłoch, który mogło wzniecić ustępstwo pierwszej kategoryi. Jednakże nadzieje zawiodły! Z pośród 465 robotników warsztatowych 10 znalazło się tylko odstępców, inni rzucali w ogień piśmienne wezwania dyrekcyi. Jedynym więc rezultatem tej polityki było niesłychane rozgoryczenie śród robotników.

Tegoż dnia, kiedy to działo się w Zürichu, w Bernie odbywała się konferencya delegacyi robotniczej z zarządami czterech ważniejszych dróg, której przewodniczył pan Zemp: nie była reprezentowaną jedynie kolej północno-wschodnia. Od ostatniego swego żądania przedstawiciele robotników ustąpili z łatwością, gdyż jest nadzieja, że w krótkim czasie sprawa dnia roboczego na kolejach zostanie uregulowaną przez państwo. Na inne zaś żądania delegaci zarządów przystali i sprawa została załatwioną w ostatniej chwili ogólnem zwycięstwem pracowników.

Pozostała jedynie sprawa z jedną linią kolejową, lecz z najważniejszą. Tu starcie było nieuniknione i doktór Sourbeck oświadczył w imieniu robotników dyrektorowi departamentu kolejowego, że o godzinie 12 w nocy w niedzielę, pierwszego marca, ruch na tej linii ustanie. — Dla osądzenia sytuacyi należy zważyć, że kolej ta łączy drogę Gothardską z jeziorem Bodeńskiem, a zatem łączy Włochy z Niemcami i Austryą zachodnią, z drugiej strony łączy zachodnią Szwajcaryę, a zatem po części południową Francyę z Niemcami i Austryą. Prócz tego linie tej kolei (posiada ona bowiem całą sieć rozgałęzioną) przebiegają najbardziej przemysłowe części kraju, a więc z ustaniem ruchu na tych liniach, znaczna część fabryk musi zawiesić pracę dla braku paliwa i robotników, którzy częstokroć z odległych wiosek przybywają koleją. Słowem wybuch bezrobocia pociągał za sobą cały szereg nieszczęść dla kraju i powodował bardzo poważne następstwa dla krajów ościennych. Cóż więc dziwnego, że przez całą niedzielę jeden był tylko temat rozmów w rzeszy szwajcarskiej: stanie kolej czy nie stanie?

Członkowie rządu rzeszy zebrali się tedy w niedzielę rano na sesyi nadzwyczajnej. Pan Zemp powtórzył, co już powiedział był na konferencyi, że żądania robotników są umiarkowane i opór kolei jest wybrykiem dziwnym wobec zgodnego zachowania się innych. Postanowiono tedy skorzystać z praw przysługujących rządowi i objąć kierownictwo kolei przez rząd, zatrudniając robotników dawnych na warunkach, jakie przyznały inne koleje aż do chwili ugody pomiędzy stronami. W tym więc duchu wysłano zarządowi kolei w Zürichu telegraficzne zawiadomienie. To poskutkowało. Zarząd w ostatniej chwili, w niedzielę po południu, zgodził się na konferencyę z przedstawicielami pracowników i przyjął ich żądania. Była to w istocie ostatnia chwila, już bowiem stali gotowi ludzie, mający rozwieść wieczornemi pociągami rozkazy komitetu po całej linii, i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w poniedziałek, 2 marca, ani jeden pociąg nie opuściłby stacyi. Teraz powieźli oni natomiast wieść o zwycięstwie i kraj odetchnął. Będzie to w historyi ruchu robotniczego pamiętny na zawsze dzień. Dla szwajcarskiej polityki społecznej pociągnia on za sobą jeszcze jedno ważne następstwa: przysporzy przyjaciół idei upaństwowienia dróg żelaznych, idei, która żywo porusza umysły od roku. Trudno bowiem znaleźć dosadniejszy dowód, że nie wolno społeczeństwu oddawać swoich linii komunikacyjnych na łaskę lub niełaskę pojedyńczego dyrektora, który może przeciw interesom całego kraju postawić swój osobisty interes.

Prócz tego zwycięstwo pracowników oszczędza, w razie wykupu kolei, państwu okrągłą sumę 25 milionów franków. Według niedawno przyjętego prawa bowiem, wykup kolei reguluje się w sposób następujący: Zarządy kolejowe muszą składać rachunki według ściśle unormowanych zasad. W razie, gdyby państwo przystąpiło do wykupu, oblicza się dochód roczny przeciętny za ostatnich lat dziesięć, ten dochód kapitalizuje się po 4 od sta; innemi słowy dochód roczny pomnożony przez 25, daje sumę, jaką państwo płaci za kolej. Jeżeli więc podwyżka płac robotniczych wyniesie w sumie około miliona franków, jak to obliczono, dochody roczne zmniejszą się o taką sumę, a zatem cena wykupu zmniejszy się o 25 milionów. Wprawdzie państwo będzie musiało płacić tyleż, co zarządy prywatne, jednakże ta podwyżka nastąpiłaby w każdym razie; demokratyczna Szwajcarya mniej bowiem deklamuje o „zadaniach społecznych państwa“ niż rządy po za Alpami, ale za to lepiej wynagradza tych, co pracują dla państwa. Ministrowie pobierają 12,000 franków, ale za to urzędnicy poczt mają co jeść.

J. B. M.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Sprawa Lewakowskiego. Wykluczenie demokratycznego posła Lewakowskiego z Koła polskiego w Wiedniu, za rzekome naruszenie solidarności, spowodowało wielkie zamieszanie i zaciętą polemikę, nietylko w galicyjskiej, lecz i w wiedeńskiej prasie. „Nowa Reforma“ poświęca kwestyi tej następujące uwagi.

---

gnienia“. Stwardniał, zobojętniał i przeobraził się z miękkiego żelaza w stal nieuchwytną zębami pospolitego, codziennego pilnika.

Wiedział, że Lola jest chorą, nie pytał jednak o jej zdrowie. Być może, że w razie, gdyby mówiono gdzieś w pobliżu o niej, byłby wytężył słuch, aby dowiedzieć się, co jej jest, — lecz sam nikogo o to pytać nie chciał. Oszukiwał sam siebie i swoje serce. Przyzwyczajony do twardej pracy, grubych uczuć, kanciastego poglądu na świat i ludzi, słowem do życia w „zgrzebnej koszuli“, wstydził się tkliwości, miękkości i tego wszystkiego, co tkwiło w nim z innego, jakiegoś lepszego i niezwykłego zaszczepione świata.

Gdy wszedł do pokoju dziewcząt, zadziwił się, że mu serce zastukało. Zadziwił się, wszak był pewnym, że już dla niego nie ma Loli na świecie, a ta inna, co ją nazywają panną Borajską, to jakaś niewiasta obca, której nie zna, i która nic a nic go nie obchodzi. Cóż więc to głupie serce znowu wyprawia, po co się niepokoi, skoro mu niewolno?...

— Siadaj pan, panie Franciszku, blisko koło mnie. Ja chcę z panem bardzo serdecznie pomówić.

Wstęp wielce obiecujący. Ale Franciszek przyszedł już do siebie i uśmiecha się nieznacznie tem skrzywieniem ust, co zda się powiadać:

— Co mi tam. Lepiej bądźmy z daleka. Ja jestem sobie pospolity człowiek, kowal z zawodu, na fanaberyach nie znam się, a komedyi nie lubię.

— Pan masz wielki żal do mnie, prawda?

— Nie, panno Lolu.... Na cóż? — ruszył obojętnie ramionami.

— Bo widzi pan, żebym ja mogła przemienić się w dwie osoby, żebym choć miała siostrę taką samą jak ja.... Mnie pana żal serdecznie. Nie mogę żadną miarą uspokoić się.... Ale inaczej być nie może. Pan tego nie pojmiesz, bo zdaje mi się, że i ja na pańskiem miejscu nie pojęłabym, i dla tego mię to martwi. Ja nie chcę, żebyś się pan na mnie gniewał — wyciągnęła rękę ku niemu — przebacz mi pan, panie Franciszku.

Matowe obojętne oczy Smolarza ożywiają się, nabierają niezwykłego połysku. Zimną stal rozgrzewają ciepłe słowa na nowo i czynią ją miększą, podatniejszą.

— Ja, panno Lolu, nie mam żalu żadnego — powiada spokojnie i na pozór obojętnie — bo i dla czegoż? Tak mi już widać przeznaczone, więc też tak się stało. Daj Boże, aby pannie Loli powodziło się jak najlepiej na świecie. A mnie.... No cóż? mnie także źle nie będzie.

Dotąd panował Smolarz szczęśliwie nad sobą, w tem jednak miejscu, gdy myśli jego zawisły na rozdrożu, gdzie się rozchodziło wspólne ich życie, aby się nigdy więcej nie złączyć, gdzie w jednę stronę szedł on sam, a w drugą ona z Dynieckim, sztuczny pokój zawiódł go, przelał się brzegami.

— Zresztą, panno Lolu — ciągnął dalej rozmiętniając się i czerwieniąc na twarzy — nie mówmy już nic o mnie, bo nie o mnie tu chodzi. Niech się pannie Loli zdaje, że mnie już nie ma w Kołczanowie, że poszedłem precz; ale jest ktoś inny, jakiś dobry przyjaciel, co pragnie szczęścia dla panny Loli. Nie złość przezemnie przemawia, nie krzywda żadna, bo tej nie ma, ale mówi szczera prawda. Strzeż się go, panno Lolu, strzeż, bo to zły człowiek. Ja go znam. Potem będzie za późno i będzie panna Lola gorzko płakać. A po co to?

Lola wykrzywiła usta boleśnie, opuszcza ręce i patrzy chwilę nieruchomo w wyblakły obraz, wiszący na przeciwległej ścianie. Wreszcie, ochłonąwszy i zebrawszy myśli, powiada z rezygnacyą:

— Być może, że będę płakała. Tak już jest na świecie, że wszystkie kobiety płaczą czasami na swoich mężów, ale jedna chwila szczęścia nagradza później wszelkie przykrości, a mnie się zdaje, że ja tylko z nim jednym takiego szczęścia dożyć mogę.

— Ha.... no, jak tak, to trudno — mruknął Smolarz z cicha — inaczej już chyba nie będzie — dodał i zamilkł.

I znowu oblicze jego przez ubiegłą chwilę zaognione, poczęło stygnąć, przybierać maskę obojętności.

Wnet wstał i pożegnał dziewczynę, uśmiechając się po dawnemu, jakby dla okazania, że nie czuje żadnego do niej żalu.

Stary Borajski wysłuchawszy nazajutrz po zabawie w „Gwieździe“ zwierzeń Smolarza, nie mógł się pogodzić z myślą, że Fran-

„Solidarność reprezentacyi naszej w Wiedniu nie zyskała nic na pospiechu, a uchwała straciła przez to tę siłę, jaką powinna mieć każda uchwała, dotykająca jednostkę: — cechę bezstronnej sprawiedliwości. Jeżeli nadto przy zwołaniu Koła nie zachowano przepisanych formalności, jeżeli nie zawiadomiono o posiedzeniu wszystkich posłów, jeżeli uchwała zapadła tylko w nader szczupłym komplecie, to decyzya Koła nosić będzie na sobie cechę intrygi, urządzonej przez nieprzyjaciół p. Lewakowskiego, a wtedy wykluczenie tego posła z Koła nietylko nie zwróci się przeciw niemu, ale zwróci się przeciw Kołu samemu i, zamiast wzmocnić solidarność, napiętnuje Koło cechą kliki, nie przebierającej w środkach, aby złamać opozycyę w łonie samego Koła“.

Dalej rozpatrując jakie prawo Koło polskie miało wydawać wyrok potępiający na dra Lewakowskiego, „N. Reforma“ pisze:

„Niepodobna stwierdzić w tej chwili, czy istniała uchwała komisyi parlamentarnej. Chociażby jednak uchwała taka istniała, to, jeżeli prawdą jest, co twierdzi p. Lewakowski, że o niej go nie zawiadomiono, (to skonstatowali sami członkowie Koła i prezes p. Zaleski. Prz. Red.) Koło nie miało powodu i prawa występować przeciw niemu z taką gwałtownością i zastosowywać przeciw niemu takiego środka, jak wykluczenie. Wpierw zatem należało wysłuchać obrony p. Lewakowskiego i stwierdzić prawdziwość jego zarzutów.

Nawet wtedy zresztą, gdyby stwierdzono zupełną winę p. Lewakowskiego to jeszcze postąpiono z nim zbyt surowo. Naruszenie solidarności jest karygodnem, ale w wymiarze zadośćuczynienia nie można być bezwzględnym. Sprawa, o którą chodziło, a więc i wina p. Lewakowskiego, nie była tego rodzaju, aby z pominięciem wszelkich innych środków zadośćuczynienia, imać się najcięższego i najniebezpieczniejszego — wykluczenia z Koła. Sprawa nagłości wniosku p. Gessmanna nie należy do spraw, w których złamanie solidarności mogło przynieść szkodę narodowości lub interesom kraju. Nawet ze względów faktycznych solidarność nie była konieczna. Wszak hr. Badeni oświadczył, że przeciw nagłości nic nie ma do zarzucenia i jedno z wielkich stronnictw rządowych, tj. zjednoczona lewica niemiecka, głosowało za uznaniem nagłości.

Głosowanie Koła polskiego nie było wcale usprawiedliwione. Wszak rozchodziło się o obronę praw obywatelskich i w takich wypadkach należy zwracać uwagę nie na to, kto czyni wniosek, ale dokąd on zmierza. W gruncie więc rzeczy p. Lewakowski miał racyę, głosując za nagłością, a chociaż przez to naraził solidarność Koła, nie naraził żadnych interesów, których strzedz powinien, jako poseł polski. Złamanie solidarności należało skarcić, ale wystarczyłoby udzielenie nagany, lub zażądanie odpowiedniej deklaracyi.

Wykluczeniem p. Lewakowskiego Koło polskie przekroczyło miarę, a tracąc jeden głos, osłabiło swoje siły i samo dobrowolnie uwolniło p. Lewakowskiego od obowiązków, które nań nakładało należenie do Koła. Jak z tej swobody skorzysta p. Lewakowski, nie chcemy przesądzać, ale Koło polskie może żałować kiedyś swego kroku. Postąpiło zatem nierozważnie i zamiast wzmocnić solidarność, uwolniło od niej posła, z którego zasadami, przekonaniami i taktyką wcale się nie zgadza“.

* *
*

Sport czy „geszeft“ z katolicyzmem w naszej prasie. Pod takim tytułem zamieścił „Orędownik“ w Nr. 64 artykuł następujący.

Zaznaczanie i wywieszanie zasad katolickich w naszej mianowicie ludowej prasie jest rzeczą bardzo naturalną. Chodzi przytem bowiem o zadokumentowanie stanowiska katolickiego w zasadzie, o zadokumentowanie tradycyi narodowej, która się na życiu katolickiem narodu naszego całe tysiąc lat układała. Chodzi także o to, że walka kulturna uderzała w nasz Kościół na to, by przygnieść narodowość naszą; chodzi i o to, że dziś socyaliści próbują wcisnąć się w nasz lud, by mu z serca wyrwać uczucie katolickie. Są to wszystko bardzo poważne względy, nakładające na prasę polską obowiązek, aby manifestowała swe katolickie stanowisko co najmniej tam, gdzie tego potrzeba wymaga.

W tym kierunku posuwają jednak niektóre dzienniki nasze swą gorliwość dalej, aniżeli potrzeba. „Kuryer Pozn.“ pojmuje swe stanowisko katolickie tak, jak gdyby miał monopol na to i jak gdyby manifestowanie zasad katolickich oddane mu zostało — w wyłączne pachciarstwo. Za pachciarzy katolicyzmu przedstawiają się także poznański „Wielkopolanin“ i inowrocławski „Dziennik Kujawski“. Gazety te narzucają się nawet drugim z swym sposobem pojmowania obowiązków prasy polskiej w obec Kościoła, duchowieństwa i interesów katolickich, a w obec gazet i obywateli w sprawach publicznych, nie kościelnych, mających odmienne zapatrywanie, pozwalają sobie prowadzić pewien rodzaj inkwizycy i to w takiej formie, jak gdyby im od Władzy duchownej dana była ku temu osobna misya.

Na mocy takiej racyi, kto się tym trzem gazetom nie spodoba, tego krótko odsądzą od katolicyzmu i jeżeli go nie nazwą wrogiem, to co najmniej niebezpiecznym przeciwnikiem katolicyzmu.

Tak postępuje sobie „Kuryer“ od lat kilku z zwolennikami ruchu ludowego; tak sobie postąpił w niedzielnym numerze z p. mecenasem Chrzanowskim z Poznania, nie mając żadnego prawa do tego, ani nawet cienia powodu, a czyniąc to jedynie z tej racyi, że interesa swej drukarni i swego pisma identyfikuje z interesami Kościoła rzymsko-katolickiego. Kto jest przeciw nakładcom drukarni „Kuryera“, ten jest przeciw — Kościołowi! — tak napisano w niedzielnym „Kuryerze“ wcale niedwuznacznie. Pisze „Kuryer“, że na walnem zebraniu Czytelni Ludowych p. mecenas Chrzanowski wystąpił przeciw kilku książeczkom, umieszczonym w Czytelniach, które zakupiono z drukarni „Kuryera“. „Kuryer“ broni tych książeczek, co mu wolno: dalej wspomina o książkach, jak „Wiara Ojców naszych“, jak „Matka Świętych Polska“, — wydanych nie przez „Kuryera“, ale przez Wydawnictwo Straży św. Wojciecha, o których p. mecenas Ch. z. na zebraniu ani słówkiem nie wspomniał — i pisze dosłownie tak:

„Kto przeciwko tym książkom występuje, ktoby je pragnął wyrzucić z czytelni ludowych, temu widocznie nie podoba się ich wybitny charakter katolicki, a z takim przyjacielem wyemancypowanego z pojęć katolickich ludu my w dysputy wdawać się nie będziemy, bo na to szkoda czasu.

„To niech sobie p. adwokat Chrzanowski, prezes zjednoczonych Sokołów wielkopolskich, rozważy i dobrze spamięta“.

Nie chodzi tu bynajmniej o osobę p. Chrzanowskiego, czy czyją inną, ale o sposób dokumentowania zasad katolickich i obrony ludu przed możliwem wyemancypowaniem się z pojęć katolickich. Od nieuznawania pożyteczności niektórych nakładów drukarni „Kuryera“ do emancypowania ludu z pojęć katolickich droga jeszcze bardzo daleka. W tym przypadku zachodzi jedynie chowanie interesów drukarni „Kuryera“ pod opiekę kościoła.

Na takich kramarzy, wciskających się do świątyni, wziął Chrystus Pan bicz w rękę i wygonił ich

---

ciszek chce naprawdę porzucić Lolę i jego pracownię.

— Musieli się pogniewać o coś i teraz chmurzą się na siebie — myślał — jutro, pojutrze przeproszą się i znowu wszytko będzie po dawnemu. Nie trzeba tylko chłopaka wypuszczać z domu.

Szczęliwy zbieg okoliczności przyszedł mu z pomocą. W przeddzień zabawy, zamówiła kasa oszczędności w jego pracowni „koło szczęścia“, tj. mosiężny bęben, osadzony na osi, oszklony po bokach, a przeznaczony do mieszania losów przed ich ciągnieniem przez głuchoniemą sierotkę. Praca przy tem „kole“ była bardzo subtelna i wymagała szczególniejszych zdolności ślusarskich. Nikt z pomocników Borajskiego prócz jednego Smolarza nie mógł podjąć się jej i stary przyjął zamówienie, jedynie namówiony przez Franciszka.

— Mam cię teraz, bratku — myślał następnie po rozmowie ze Smolarzem — dobrze, żeś zaczął robić „koło szczęścia“. Srebrem trzeba w mosiądzu lutować, tego mi żaden z czeladzi nie zrobi, tylko ty jeden. Nie wymkniesz mi się przez dwa tygodnie z domu, a za ten czas jeszcze wy się pogodzicie.

Gdy zatem Smolarz, rozmówiwszy się z Lolą, wrócił do pracowni, w ślad za nim podążył tam stary, aby chłopaka wybadać; ale od czego tu zacząć, jak się prawdy dowiedzieć?

— A co, idzie robota? — zapytał tedy, oglądając toczone i gięte części mosiądzu.

— A no, czemużby nie? — odmruknął Smolarz, nic zatrzymując się w pracy.

Borajski podumał chwilę.

— No coś trzeba nasadzić czopki, co?

— Juści, że trzeba, inaczej szkło pęknie.

Stary znowu duma, Smolarz piłuje.

— Będzie to ładny kawałek, jak się złoży.

— Hm....

Chwila milczenia.

— Żeby tylko śrubki nie puściły... co?

— Ej, nie, trzymają jak zębami.

Stary siada na zydlu i zakłada nogę na nodze.

— Coś tam gadaliście z Lolą — zaczyna jakby od niechcenia.

— A.... niby.

— No, o czem?

— Ot, tak sobie.

— Pogodziliście się może?

— Albo ja wiem? My się przecie nie gniewamy.

— Więc pan może nie jedziesz?

— Czemu nie? Jadę, jak skończę „koło szczęścia“.

— Aha....

Borajski wydobył kraciastą chustkę i otarł nos z nadmiernym hukiem.

— Tak, tak — dodał po namyśle — trzeba mi iść dalej.

Na schodach spotkał Dynieckiego który mu oświadczył, iż przychodzi zapytać o zdrowie Loli. Borajski poprosił go do bawialnego pokoju i zawiadomiwszy o tem żonę odszedł do siebie na górkę.

Dyniecki odwiedzał teraz Borajskich codziennie. Stary, chociaż nie bardzo rad z tych wizyt, witał i żegnał go zawsze uprzejmie, pamiętając, że Dyniecki jest synem jednego z najbogatszych obywateli Kołczanowa. Ponieważ jednak nie wiedział, o czem rozmawia się z takimi jak on paniczami, więc wyręczając się żoną i Anulką, co prędzej uciekał z bawialni i chował się w swojej kancelaryi na poddaszu.

Tam rozmyślał:

— Dobry byłby i ten, choć mi tamtego szkoda. Dynieccy mają młyn i sto tysięcy gotówki. Lola byłaby wielką panią. Szkoda, że nie mam dwu córek. Jedną wydałbym za tego, a drugą za tamtego. Zresztą i syn by się przydał. Ożeniłbym go z Anulką, bo to złota dziewczyna.... Hej, hej... nie dał mi Bóg syna!... Żeby choć Lola była szczęśliwa. At, co ja się będę darmo kłopotał. Chce Dynieckiego, niech idzie za Dynieckiego — a jakby ten skrewił, to zawsze Smolarz zostanie w zapasie. No i koniec.

Zadowolony z wyniku rozumowania, nasadził czapkę na głowę, i szedł do Bronarza na dwa „podwójne“.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

z domu Bożego. W Poznaniu w ostatnich 4 latach stali z kolei jeden, drugi, trzeci, teraz stoi czwarty prałat kapituły poznańskiej na czele Drukarni „Kuryera"; wszyscy z kolei patrzą na to prowadzenie „geszeftu" z zasadami katolickiemi, i żaden z nich bicza nie bierze!

A cóż ludzie mają myśleć — o takim „geszefcie"! W ogóle z rozpisywaniem się po gazetach o zamówionych mszach św. i innych świętych rzeczach prowadzi się w prasie polskiej sport wcale niestosowny. To hałaśliwe, jarmarczne wywieszanie w prasie naszej zasad i haseł katolickich nazwała pewna osobistość w Poznaniu — kompetentna w tych sprawach — rzeczą „wprost wstrętną i paskudną"!

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Pesymiści-melancholicy.

(*E. Orzeszkowa. Melancholicy, nowele. — Warszawa 1895, 2 tomy*).

(Dokończenie.)

Nieco więcej tego pierwiastku znajdujemy w „Świetle w ruinach". Młoda arystokratka straciwszy dzieci i miłość męża, godziła się z przeznaczeniem, ale czuła nudy i pustkę, zazdrościła „małym biednym spracowanym nie mającym czasu myśleć i nudzić się". Zdawało jej się, że si zakochała, bo że *on* był zakochany, to nie ulegało wątpliwości. Więc po pewnej walce zgodziła się być „choćby pobladłym, ale ciepłym płomieniem czyjegoś serca". I w chwili, kiedy na to serce oczekiwała, zdecydowana mu się oddać, przyszedł „dziadunio", stary przyjaciel jej rodziców. Uważała go za idiotę, burzyła się na myśl parogodzinnego z nim sam na sam, ale dobre wychowanie, a raczej nałóg uprzejmości kazał jej rozpocząć rozmowę. Podniosła mu nawet laskę i spotkała się z wzrokiem zdziwionym. Przyszła rozmowa na jej ojca — w oku starca ukazała się łza. Rozgadał się. Ojciec jej był uczonym, a nadewszystko dobrym — „*nadewszystko*", bo na świecie więcej jest uczonych, niż dobrych". Zapytywany opowiadał dalej „dziadunio" o sobie, o swoich obecnych stosunkach. Mieszkanie ma zimne, nie zawsze go dobrze karmią, ale cóż, kiedy mieszka u praczki, która nie dba o to, czy staremu ciepło, czy zdrowo jada. „Mówisz, że nie uczciwa? Ehe! sprobój stać nad balią od rana do wieczora, pięcioro dzieci odziać i nakarmić... zobaczymy jaka będzie twoja uczciwość... ehe!" I z odzieżą ma ł.ł pot, choć płaci, aby ją naprawiali, czyścili, prali. Jak? co? zmienić mieszkanie? A cóżby było z wisusami? Z jakimi? no, dwóch malców tam jest... miłe błazny, bardzo miłe i zdolne. Należałoby ich oddać do szkół, ale on nie ma na to, a więc ich uczy, trzy godziny ich na dzień męczy.... I to jego szczęście, bo coby robił? A jak odejdą, to nie robi nic. Mówisz, żebym czytał? Ale ja już od dziesięciu lat nic czytałem. Mam dawne książki, mógłbym mieć trochę nowych, ale patrzę na nie jak spragniony na wodę i... nie mogę... Co? ty chcesz mi głośno czytać, e, nie może być!? W tej chwili lokaj zaanonsował oczekiwanego gościa — hrabina go nie przyjęła. Powóz odwiózł starca, który jeszcze opowiedział bolesną historyę swego syna, a wielka dama myślała o tem, jak jutro zaopiekuje się starcem, jak mu urządzi mieszkanko, wisusów do szkół odda... „W ruinach jej szczęścia błysnęło światło czyste i ciepłe".

Dość twardym orzechem do zgryzienia dla sprawozdawcy jest nowela „Ascetka", ponieważ ks. Karol Niedziałkowski napisał z powodu niej obszerną rozprawę o ascetach w rzeczywistości i wyobraźni, w której zarzuca Orzeszkowej zupełne niezrozumienie ascetyzmu.*) Braku kompetencyi w tej sprawie ks. Niedziałkowskiemu odmówić nie można. ale z drugiej strony należy zauważyć, że Orzeszkowej nie szło o ascetyzm wogóle i że zapewne nie miała zamiaru bohaterkę swej powieści przedstawiać jako ogólny typ ascetki. Zdradzona przez przyjaciółkę, która odebrała jej narzeczonego, ascetka Orzeszkowej przepełniona goryczą do świata, wstępuje do klasztoru. Cały czas przepędza na modlitwie i ćwiczeniach, jest wzorem dla „sióstr" i zdaje się jej, iż odnalazła spokój, jakiego nie miała na świecie. Ale u małej dziewczynki, oddanej do szkoły klasztornej, ujrzała takie oczy jak u niego i spokój jej runął. Przenosi się myślą w lata ubiegłe, a grzech ten chce zmyć ciężką pokutą. Ale mimo świadomości grzechu, wciąż wraca do niego i nienawidzi dziecka jej i jego, obchodzi się z niem ostro i bez serca. To ją znów prowadzi do egzaltacyi nerwowej, do niesłychanych umartwień ciała: biczuje się aż do omdlenia, obiera dla siebie straszną wilgotną celę z trumną zamiast łoża, na klęczkach prosi Boga, aby ją wziął jak najprędzej do siebie. Owa dziewczynka zachorowała na tyfus plamisty, w duszy ascetki odbywa się olbrzymia walka, z której wychodzi zwycięzona. Prosi przełożonej, aby jej powierzyła pielęgnowanie ciężko chorego dziecka... Ks. Niedziałkowski „nie dziwiłby się, gdyby nawet wypadek podobny był psychicznie prawdziwy", a to sprawę rozstrzyga na korzyść Orzeszkowej. Inna rzecz, iż się taka ascetka może a nawet musi nie podobać tym, co żądają od ascetów prawdziwego powołania, a nie szukania w ascetyźmie ulgi po bólach życia, a tembardziej po zawodach miłosnych; zgoda też na to, że utwór Orzeszkowej jest „utworem imaginacyi i nie ma nic wspólnego z chrześciańską ascezą". Co do roboty artystycznej „Ascetka" ma jednę wielką wadę: jest za rozwlekła. W każdym razie są w tym utworze niepoślednie piękności, jak opis odbywającej się walki w sercu i głowie ascetki, jak malownicze i pełne wysokiego nastroju obrazy kościelnych obrzędów, lub jak wybornie narysowana postać przełożonej, która „rzeczom niebieskim nieskończoną wyższość nad ziemskiemi przypisując,

*) Ks. Karol Niedziałkowski. O chrześciańską zasade. Warszawa 1895, tom I.

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

Krapodyna to rodzaj ukrzyżowania, a może i gorsze od ukrzyżowania samego. Gwoździami przybity do krzyża skazaniec zamęczy się przez jednę lub dwie doby, podczas gdy legionista krapotynowany całe tygodnie znosić musi prawdziwe męki Tantala. Żołnierz rozpięty na zwyczajnej desce, skrępowany i przywiązany do niej za ręce i nogi wystawiony bywa aż do 30 dni na słońce afrykańskie. Odwach z nabitą bronią strzeże winowajcy, uważa żeby w miejscu, gdzie ofiara leży, słońce nie zaszło, lecz gorącemi promieni swych pociskami i blaskiem nieznośnym tem więcej dokuczało nieszczęśliwej ofierze, dręczonej nadto nieznośnie przez muchy i komary. Kawałek suchego chleba i łyk wody to porcya skazańca na dobę jedną. Że w podobnej sytuacyi wytrwać może człowiek długich dni trzydzieści i tyleż nocy, prawie niepodobieństwem się wydaje. Prawda, że niejeden już po dniach kilku umiera, ale znałem i takich, którzy cały miesiąc szczęśliwie przetrwali Sierzant pewien, belgijczyk, wytrwawszy 30 dni krapodyny tak dalece sobie powrozami poprzecinał ręce, nie mogąc spokojnie wyleżeć dla owadów całemi chmurami kąsających, że amputowano mu obie w łokciu. Gdy z powodu amputacyi i osłabienia umarł, matka jego, zamożna pani belgijska, wniosła zażalenie wprost do francuzkiego ministeryum wojny na barbarzyńskie zamęczenie swego jedynaka. Rozpoczęto z wyższego rozkazu śledztwo, lecz, ma się rozumieć, sekcya zadręczonej ofiary wykazała, że sierzant *nie* z powodu osłabienia i amputacyi, lecz dla wrzodów jakichś wewnętrznych, powstałych przez życie hulaszcze, padł śmierci ofiarą. Taki był raport do ministeryum, choć bodaj czy i sami lekarze raportowi temu dawali wiarę. Każdy z nas wiedział, że sierzant ów bynajmniej życia rozwiązłego nie prowadził; nam 30 dni krapodyny dostatecznem było objaśnieniem jego śmierci.

Nie mniejszy postrach dla wszystkich wzbudzał rodzaj kary, gdzie więźnia zamiast do celi wrzucano do dołu wykopanego lub wykutego przez krajowców. Dołów takich, zwanych „sillos", masz pełno wszędzie. Są to cysterny wysuszone, przemienione w najokropniejsze więzienia. Doły te w kształcie gruszki kopane, są mniej więcej 6 metrów głębokie, a 4 szerokie. W razie potrzeby zakrywa je się pokrowcem. Dotąd więc wrzuca się więźnia, gdzie pobyt tem straszniejszy, im dłużej trwa i im więcej ofiar wspólny los podziela. Od chody własne zapowietrzają wkrótce atmosferę, wreszcie nawet nie ma miejsca czystego, gdzieby kości zmęczone złożyć można. Podczas dnia, gdy najjaskrawsze promienia słońca wpadają wprost przez otwór do wnętrza lochu, wieko bywa zdejmowane i temperatura w dole dochodzi do niesłychanej wysokości. Chleb, podawany więźniowi, wysycha, a woda już przed podaniem grzana umyślnie przez kilka godzin na słońcu, formalnie się gotuje. Męki więc skazanych są nie do opisania. Przez kilka dni najsilniejsi mężczyźni zmieniają się w kościotrupy. Wielu słabszych ulega już po krótszym czasie tym szatańskim mękom, za których barbarzyństwo rumienić się powinna Francya w 19 wieku, jeżeli jej oficerzy z wiedzą rzeczypospolitej karę podobną dyktowali żołnierzom, którzy, choć cudzoziemcy, prawie po wszystkich częściach świata walczyli za honor przybranej swej ojczyzny; uznanie należy się Boulangerowi, który, znając niezawodnie owe kary okrutne z czasów swego gubernatorstwa w Algierze, jako minister wojny zakazał ich surowo. Trupów nagromadzonych w sillosach nie oddala się, a szkaradna woń zgnilizny wskazuje pozostałym przy życiu los okrutny, który ich lada dzień spotkać może. Czasami delikwenci 60—70 dni ślęczeli w tym otwartym grobie. Gdy karę szczęśliwie przebyli, często się zdarzało, iż wycieńczonemu jak szkielet, ledwie jeszcze do człowieka podobnemu kościotrupowi legionisty, przypinano tornister z całym pakunkiem na barki, by przez 6

mniemała, że i w tych drugich może znajdować się niekiedy coś niewinnego a miłego".

Pozostaje jeszcze jeden szkic psychologiczny: „Wielki". Rzecz to najsłabsza z całego zbioru. Skrzypek, pojący się sławą, oklaskami, owacyami, stracił wskutek przeciągu władzę w prawej ręce. Sądzi, że to przejdzie, tak jak przeszedł tyfus, który jednocześnie rzucił go na łoże. Przekonywa się jednak, że się łudzi, że smyczek pod jego dłonią nie będzie już entuzyazmował publiczności. Był do tej chwili wielkim, teraz zostaje niczem. Narzeczona, która ukochała w nim sławę, poddaje się woli rodziców i cofa swą rękę przeznaczoną jedynie dla wielkiego. Zapewne, że to może, a nawet musi naprowadzić czarne myśli do głowy, ale naprzód melancholik ten nie leczy się z melancholii, a więc stoi w sprzeczności z treścią całego zbioru, a powtóre cóż to za wielkość, która zawisła od pierwszego lepszego przeciągu? Współczuje się ze skrzypkiem, ale ma się ochotę zapytać Orzeszkowej: czy ona rzeczywiście uznaje tego rodzaju wielkości? Że tłum nie zasta nawiający się, że reporterya, melomani i dziennikarze, tego gorszego, a raczej „słabszego" gatunku, stawiają na piedestale wszelkiego rodzaju skrzypków, śpiewaków, fortepianistów, że dziesięcioletni dzieciak, który dobrze palcami przebiera lub smyczkiem pociąga, zbiera pieniądze i sławę będącą nagrodą dla ludzi prawdziwie wielkich dopiero po wielkich czynach, lub stworzeniu dzieł znakomitych, na których wyciśnięte jest piętno nieśmiertelności — to nie żadna jeszcze racya, aby ogół prawdziwie inteligentny tych wykonawców a nie twórców za wielkości uważał. To też wielki poeta, myśliciel, mąż stanu, artysta-kompozytor, nie obawia się, aby wielkość jego runęła od.... przeciągu; nawet śmierć nie zdejmie laurów z jego skroni, bo choć ciało się rozpadnie, pozostają jego dzieła i czyny....

Tak się przedstawiają „Melancholicy" Orzeszkowej. Pomimo tu i owdzie przeciągnięcia lub niedociągnięcia struny, należy im się jedno z miejsc honorowych w naszej literaturze beletrystycznej z lat ostatnich. Zbytecznem byłoby zapewniać, iż autorka „Chama" nie napisze nic takiego, coby nie nosiło na sobie piętna artyzmu i głębokiej myśli. Pod tym ostatnim względem zajmuje ona stanowisko w naszem powieściopisarstwie bodaj czy nie najwybitniejsze. Cała jej działalność literacka, to ciągły protest przeciwko teoryi: sztuka dla sztuki. A w naszem skołatanem społeczeństwie to wielka, bardzo wielka zasługa.

Jeżeli często ze względów stronniczych nadużywamy nazwy czyn dla określenia wartości dzieła artystycznego, to prawie nigdy tej nazwy nadużyć nie można, kiedy jest mowa o utworach Orzeszkowej. Zapewne, że na wszystkie jej zapatrywania i pojęcia zgodzić się nie można, że przeciwko wielu z nich należało może silnie wystąpić, (stosuje się to zwłaszcza do jej utworów dawniejszych) ale nie ma wątpliwości, iż Orzeszkowa zawsze wysokie znaczenie przywiązywała do misyi autorskiej i zawsze była przekonaną, że walczy w imię prawdy, dobra i piękna, w obronie społecznych ideałów, w celu ukrzepienia sił ogółu i jednostek do walki z przeciwnościami. Piórem jej kierowała szlachetna idea służby talentu na rzecz dobra powszechnego, służby zwłaszcza dla swego biednego narodu, dla tej ziemi-matki, która ją wypiastowała i której chciała się wypłacić miłością dobrego dziecka. Wypadało to czasem na niekorzyść artystycznej strony jej utworów, ale choć traciła na tem artystka zyskiwała na tem obywatelka. Spostrzega sie to gdzieniegdzie i w „Melancholikach", w których dążność etyczna i obywatelska przeważnie na pierwszym stoi planie. Ztąd pisząc o nich, nie można poprzestać na ocenie ich wartości literackiej, a trzeba pamiętać, że odganiając czarną zmorę pesymizmu, przynoszą one sercom i umysłom wątpiącym pociechę. I ten bohater „Z pomroku", głoszący ideę serdecznego braterstwa i ten z „Jednej setnej" choć nie wart wiele, ale przypominający sobie z pewną wewnętrzną rozkoszą parę dobrych uczynków, i ten „dziadunio", uczący wisusów, i ta jego przyszła opiekunka pragnąca zapełnić pustkę w życiu czynami miłosierdzia, i ten żyd zegarmistrz biegnący za pogrzebem jasnego grafa, i ta wreszcie ascetka pielęgnująca dziecko człowieka, który złamał jej życie — spełniają w „Melancholikach" swą etyczną misyę, rozszerzając otwory światła w czarnej płachcie życia, spełniają obowiązek opieki literatury nad zdrowiem moralnem społeczeństwa. A cóż dopiero powiedzieć o Zenonie z „Braci", o tym melancholiku, co z zaparciem się własnego szczęścia, chce być „kroplą wody i drobiną światła" dla kawałka ziemi rodzinnej. Takim cichym bohaterom obowiązku należy się wysokie uznanie, równe uznaniu dla tej, która takie postacie kreśli i wysuwa naprzód za wzór, za przykład do naśladowania.

Kazimierz Bartoszewicz.

Nowiny literackie z Paryża.

Za kilka miesięcy ukaże się nowa powieść Alfonsa Daudeta, p. t. „Soutien de famille". Zapytywany o nią autor, tak odpowiedział w dzienniku „Matin": „Książka, jaką przygotowuję do druku „Soutien de famille", rozpoczyna się listem istotnie przezemnie odebranym. List ów pisał człowiek mi nieznany, lecz polecający opiekę nad swojemi dziećmi, sam bowiem postanowił utopić się w poblizkim kanale. W powieści mojej rozwijam dzieje życia najstarszego z synów tego biedaka. Jako najstarszy w rodzinie, powinien myśleć o zapewnieniu jej bytu. W ciągu mego opowiadania, chłopiec napotyka na swej drodze sporo zacnych ludzi, chcących mu ułatwić zadanie, jakiemu jest obowiązany podołać. Popierany przez obcych, pieszczony wśród swoich szanujących w nim głowę rodziny, chłopak leniwieje, a cały ciężar pracy spada na młodszego brata, poświęcającego się z serdecznem oddaniem i przypisującego zasługę rezultatu swych zabiegów najstarszemu z rodzeństwa. Prócz tego powieściowego wątku, starałem się o ile możności najwierniej namalować sprzedajność polityczną, ten charakterysty-

---

dalszych godzin znęcać się nad nim w mustrze karnej po piaszczystym placu ćwiczeń wojskowych. Raz jeszcze cześć Boulangerowi, iż zniósł ostatni zabytek tortury wieku dziewiętnastego w kraju cywilizowanym. Dziś chyba już tylko jeńcowi pojmanemu przez Arabów poznać sillosy z doświadczenia smutna sposobność się nadarzy.

Ducha panującego w legii, ktoby wobec materyału tak różnolitego i tak krok w krok nieludzko traktowanego nazwać chciał entuzyazmem i zapałem dla sprawy francuzkiej, którego dźwignią byłyby honor i sława, lub inne jakie ideały wyższe, fatalnie by się omylił. Na pozór zdaje się, że pułkami kierują wznioślejsze pojęcia. Sama nazwa, przypominająca rzymskie legiony, dalej rodzaj instrukcyi, goniący za efektem, muszą porwać w pierwszej chwili nowo przybyłego rekruta. Stajesz w depocie, jedynych koszarach większych dla pułków zagranicznych, i dziwnie ujmują cię owe historyczne napisy, z któremi się krok w krok spotykasz. Każde piętro, każda sala każdy zresztą pokój koszarowy nosi miano, przypominające ci sławne dzieje pułku, w jakim służysz. Tu Magenta, tam Solferino, tu Sebastopol, tam Extrême Orient, tam Hüe, tam Mascara, oto wszystkie perły sławy, które legia dla Francyi zdobyła, a których dźwięk do dziś dnia oszałamia i tumani ogromem wspomnień przybysza. — Podczas, gdy inne narody, jak Holandya i Anglia, płacą „łapówkę" przy wstąpieniu do armii kolonialnej, płacą żołd dość znaczny i po wysłużeniu lat przepisanych pensyę dożywotnią, Francya zaangażowanemu nic zgoła nie ręczy, ni łapówki, ni pensyi; — jedyna korzyść jego, to obywatelstwo francuskie po 5 latach służby. *„Nous autres nous sommes soldats pour l'honneur et pour la gloire"*, tak mawiał do nas często kapitan Virgitti, porównując sposób rekrutowania, używany przez Holandyę i Anglię, ze sposobem stosowanym przez Francuzów. Tym zresztą fantomem sławy iluzorycznej podtrzymywany bywa cały duch w legii przed światem cywilizowanym i przed nieprzyjacielem.

Sława i zasługi legii są też zaiste wielkie. Legia, specyalnie zaś jej pułk pierwszy, uchodzi niezaprzeczenie za najwaleczniejszy regiment wojsk francuzkich. Jakiż inny pułk mógłby spoglądać przy istnieniu zaledwie półwiekowem już na równe wawrzyny? Pułk pierwszy legii bił się we wszystkich częściach świata, pod Magentą, Sebastopolem, w Algierze, Tunezyi, Tonkinie, na Madagaskarze — i wszędzie zdobywał wawrzyny. Nie daremnie więc jest w posiadaniu najwyższych oznak i orderów; żaden pułk inny francuzki z nim porównania nie wytrzymuje.

Jenerał Negrier, znany z ekspedycyi Tonkińskiej, powiedział z dumą w Tonkinie: „Dajcie mi regiment francuzkiej piechoty, a nawet dwóch mil przed miasto wyjść się nie ośmielę; lecz dajcie mi kompanię legii, a zwycięzkim pochodem pójdę przez Tonkin cały". I legia też Tonkin zdobyła, jak w nowszych czasach Madagaskar. Mimo tej sławy historycznej jednak nie ma, jak już wspomnieliśmy, zapału dla sprawy francuzkiej w szeregach pułków zagranicznych. Waleczność pojedyńczego żołnierza jest raczej rezygnacyą wykolejonej egzystencyi, niż heroizmem dla miłości sławy i oręża francuzkiego. Legionista nie zlęknie się przed żadnem niebezpieczeństwem, pójdzie z zimną krwią i bez szemrania, gdziekolwiek mu rozkażą, bo nadzieja śmierci, uśmiechająca się w dali, jest dlań dobrodziejstwem i zakończeniem życia, które od kolebki może było jednolitem pasmem nieszczęść, rozczarowań i męczeństwa. Gdzie i dla kogo zginąć, to mu zarówno, czy na deportacyi w odległej Kaledonii lub Guajanie w tak zwanych „travaux forcés" (robotach przymusowych), czy też przed frontem od kuli francuskiej przez rozstrzelanie, czy wreszcie w regularnej potyczce, byleby zginąć i zakończyć od razu męczarnie. Raz wdziawszy mundur legii na siebie, wie żołnierz niemal z pewnością, że już tylko śmierć go wybawi, chyba, że dziwna losów opatrzność setnego do ojczyzny na powrót zaprowadzi. „Wolny Głos" paryski zestawił raz statystykę śmiertelności w pułkach zagranicznych. 60% żołnierza ginie od klimatu, 10% przez przypadki wojenne, 20% przez deportacyę do „travaux forcés", surowe kary i rozstrzelanie, 5% przez samobójstwo, a z pozostałych ostatnich 5% połowa ponowny podpisuje kontrakt lub dosługuje się wyższych stopni.

Dezercya w legii jest tak daleće na porządku dziennym, że mimo surowych kar

czny rys naszej epoki. Tak, dołożyłem całego wysiłku woli, by prawda tryskała z obrazów stanowiących tę stronę mojej książki. Wybrałem chwilę naszego politycznego życia, gdy Izba już uległa moralnemu zepsuciu, lecz nie zdawała sobie z tego sprawy, a Francya tem mniej mogła się tego domyślać. Były to czasy, gdy ludzie otaczający Gambettę, zaczęli niespodziewanie opływać w dostatki, zasiew zła już kiełkował, lecz nieśmiało oględnie. Jako najpodatniejsze miejsce do obserwacyi, wybrałem poczekalną salę w Palais Bourbon: tam, w tym przedsionku Izby deputowanych, rozwija się główna akcya w mojej książce. Czyż ten przedsionek nie jest stekiem dla wszystkich przekupstw i politycznych tranzakcyi?... Tam, dla zobaczenia się z deputowanym swojego okręgu, zbiegają się ludzie ze wszystkich zakątków Francyi, tam zanoszą swe prośby i przypominają się pamięci swojego przedstawiciela: chłopi, proboszcze, mieszczanie, żołnierze, kobiety, które jako matki lub żony przedstawiają sprawę syna lub męża, niemogącego przybyć osobiście. Cały ten tłum wyborców wywiera nacisk na swego deputowanego, dając mu wyraźnie uczuć, że jest on obowiązany być zawsze gotowym na ich usługi, bo z ich to łaski należy do przedstawicieli narodowych. W tymże przedsionku Bourbońskiego pałacu, schodzą się i inni interesenci, kusiciele przedajności, przeprowadzający swe sprawy za pomocą ponętnego złota. Tak, przedsionek Burbońskiego pałacu jest otwartą żyłą, przez którą upływa najżywotniejsza krew Francyi, a na to miejsce wnikają najzaraźliwsze zarazki, nurtujące istotę naszego prawodawczego ciała“.

Trwające od lat kilku zamiłowanie do badania życia i epoki Napoleona I, jeszcze nie minęło i, rzecz dziwna, jak wszystkie książki pisane w tym kierunku są zajmujące i jakie budzą zainteresowanie w czytelnikach, chociażby najmniej skłonnych do wielbienia wielkiego cesarza, tego legendowego wielkiego wodza, którego tryumfy okupione były milionami istnień ludzkich. Korsykanin, p. Marcaggi, w książce p. t. „Une Genese“, poruszył najmniej znany okres życia Napoleona Bonapartego, bo lata jego dzieciństwa i młodości. Autor zdołał zebrać mnóstwo autentycznych a nowych szczegółów, prócz tego uwydatnił rozwój umysłu Napoleona w epoce kształtowania się jego z dziecka w zapalczywego młodzieńca. Mając lat 18, Napoleon przebył już niemało walk z losem, dokuczała mu nędza, starał się o wydanie swego rękopisu „Histoire de la Corse“ i pomimo protekcyi Mirabeau, nie mógł doprowadzić tego do skutku; zgorzkniały, sentymentalny, ulegający wpływowi książek J. J. Rousseau, a jednak pełen szalonej dumy i ambicyi, chciał zakończyć życie samobójstwem. Cierpiąc nad upokarzającem swem położeniem względem bogatszych kolegów, unikając towarzystwa, samotny i pozbawiony przyjaciół, Napoleon zwierzał się tylko w pisywanych przez długi czas notatkach oto z nich ustęp, odnoszący się do tej właśnie chwili: „Jestem samotny pomiędzy ludźmi i tylko zdala od nich oddaję się marzeniom z całą zapalczywością mej natury i ogromem mojej melancholii. W którąż stronę zwracają się dziś moje dumania?... W stronę śmierci. Tak, bo cóż ja mogę uczynić dla zdobycia pola przynależnego moim zdolnościom?... Ponieważ zaś śmierć jest nieunikniona, dla czegoż przeto nie miałbym jej przyspieszyć?... Dla czegoż nie miałbym się zabić?... Gdybym miał jakie lat 60, niewarto byłoby sobie zadawać tego trudu, czekałbym wówczas cierpliwie kresu, jaki wyznaczyłaby dla mnie natura, lecz w moim wieku, będąc już znękanym niepowodzeniami, zniechęconym i widząc, że nic już dla mnie nie ma uroku, dla czego mam cierpieć dłużej?... Dla czego naprożno wyczekiwać poprawy losu, kiedy nic mi nie sprzyja? Życie mi jest ciężarem i nic mi nie sprawia przyjemności: wszystko mi jest obojętne, albo tylko wstręt we mnie budzi. Ludzie, których dotychczas napotkałem na mojej drodze, tak są odemnie różni, iż widzę, że mnie z nimi nic nie będzie łączyło. Ich obyczaje, ich myśli tak dalekie są od moich, tak odmienne, jak światło księżyca od słonecznych promieni! Wstręt, wstręt mam do wszystkiego i do wszystkich! Więc pocóż żyć dłużej?“

Z dalszego ciągu tych notatek oraz z listów, jakie Napoleon pisywał do rodziny, widać wszakże, iż miał w wysokim stopniu rozwinięty zmysł spostrzegawczy, przewidujący, praktyczny. Wszystko obliczał, a jednak był do najwyższego stopnia impulsywny, nieustraszony, czynny. Mając lat dwadzieścia, wyzywa się z sentymentalizmu, drwi już z Rousseau, odrzuca nazawsze sofistykę tego filozofa. Zdarzyło się, że w r. 1792 d. 22 czerwca był w Paryżu i widział, jak tłum obległ pałac Tuileries, domagając się, by Ludwik XVI ukazał się ludowi w czapce frygijskiej. Król zadość uczynił temu żądaniu. Napoleon, ujrzawszy go w czerwonej czapce, zawrzał oburzeniem i rzekł do Bourrienne'a, z którym przybiegł na plac du Carrousel: „Coglionel!.. Coglionel!.. (tchórze! Armatami się odpowiada na takie żądanie!) Autor kończy swą książkę na roku 1793, gdy Napoleon, jako kapitan artyleryi, przybywa do Tulonu, oblężonego przez wojska angielskie. „W sześć lat później Napoleon Bonaparte był pierwszym konsulem, a w lat jedenaście cesarzem!“

Fryderyk Masson, autor książki tłomaczonej na język polski: „Napoleon i jego kobiety“, oraz kilku innych słynnych dzieł o epoce pierwszego cesarstwa, wydał temi czasy nowy utwór: „Cavaliers de Napoléon“, z pięknemi kolorowemi ilustracyami Edwarda Detaille'a, najznakomitszego batalisty francuzkiego. Z książki tej napisał sprawozdanie Franciszek Coppée; przytaczamy wyjątki z jego długiego artykułu: „Czyż potrzebuję mówić, że na książkę Fr. Massona „Cavaliers de Napoleon“, rzuciłem się jak zgłodniały i o wszystkich sprawach, o świecie całym zapomniawszy, przeczytałem jednym tchem, pożerając całą księgę z upojeniem rozkoszy. Wojny napoleońskie — to nowoczesna Iliada! Żaden naród nie może się pochlubić takim szeregiem niezrównanych zwycięztw, jakie odniosła wtedy Francya, żaden naród nie miał takiego wodza, takiej armii, którąby takich dokonała czynów, jak armia francuzka, począwszy od Arcole, aż do Waterloo. Najwznioślejsze wojenne czyny bohaterskie bledną i nikłemi się stają, wobec szarży ułanów polskich w Hiszpanii 30 grudnia 1808 roku w wąwozach Somo-Sierry.

---

ze stu nowo przybyłych najmniej 90 jej próbowało. Dla rekrutów, tj. dla takich, co rok pierwszy służą, nie ma kary rozstrzelania za dezercyą, tylko miesięczne więzienie za dostateczną uważane bywa zapłatę. Kto ponownie próbował ucieczki, tego czekają w najlepszym razie roboty przymusowe, albo, jeżeli dezercya nastąpiła z batalionu lub kompanii, operującej przeciw nieprzyjacielowi, lub przedsięwziętą została przez żołnierza nie rekruta, kara rozstrzelania. — Dopiero ten, który cały miesiąc znajduje się po za swą kompanią, ogłaszany bywa za dezertera i ścigany listami gończemi. Największa część z tych, która opuściła garnizon w celu ucieczki, wraca dobrowolnie po krótszym lub dłuższym czasie, widząc absolutną niemożliwość wydostania się po za obręb ramienia francuskiego. Brak środków materyalnych głównie utrudnia dezercyę. Przytem odległość od morza, zupełny brak komunikacyjnych dróg w naszem znaczeniu tego słowa i niechęć osadników i krajowców przeciw wszystkiemu co francuskie, takie na każdym kroku zbiegowi stawiają przeszkody, że pomyślna ucieczka z paszczęki legii, należy nieomal do rzeczy niesłychanych. Podczas mego w Algeryi pobytu nie słyszałem o żadnym wypadku udanej dezercyi.

Zrozumiałą jest nieufność i niechęć arabskich lub beduińskich krajowców względem żołnierza francuskiego, mniej jednak uzasadniony wydał mi się wstręt osadników europejskich wobec Francuzów w mundurze. W mieście, wśród publiczności europejskiej, legionista w żadnym porządnym nie może przebywać lokalu. Omijają go wszędzie, jak zapowietrzonego lub stygmatyzowanego znamieniem Kaina na czole, snać, widzieć muszą w żołnierzu wyrzutek społeczeństwa, z którym zetknąć się bez szwanku nie podobna. Wstąpisz do sklepu lub kramu, by coś zakupić, a kupiec z niedowierzaniem każdy twój ruch śledzi, bacząc, czy w rzetelnym cel do niego przybywasz. A jednak, choć sam najmocniej jestem przekonany o nizkim poziomie moralnym materyału składającego oba pułki zagraniczne, chociaż pojęcie własności osobistej pomiędzy żołnierzami przy wzajemnem z sobą pożyciu prawie nie istnieje, pomimo to nie wierzę w tak dalece posuniętą nikczemność przeciętnego szeregowca, żeby miał się zniżyć do grabieży pospolitej i kradzież jako rzemiosło traktował.

Niszczyliśmy niejedną osadę nieprzyjacielską, tak w Algeryi jak w Tonkinie, ale ani tu ani tam nie zauważyłem, żeby grabiono nawet u nieprzyjaciół coś innego, jak przedmioty spożywcze, bydło, konie, prowiant itp. Każda zresztą grabież surowo bywa karaną.

Jeżeli osadnicy europejscy, po większej części ze szczepu hiszpańskiego, mają niechęć do żołnierza, to pochodzi niezawodnie ztąd, że Algerya po kilkakrotnie należała rzeczywiście do Hiszpanii, a i do dziś dnia „gros“ ludności więcej do półwyspu pirenejskiego niż do Francyi ciąży. Nawet moneta, kursująca w życiu potocznem, jest w całej Algeryi przeważnie hiszpańska.

Lecz wróćmy do dezercyi. Mimo zawiści, jaką pałają Beduini ku wszystkiemu, co francuskie, oni to jednak właśnie dezerterowi zagradzają i utrudniają ucieczkę, gdzie tylko mogą, by w ten sposób pozyskać wyznaczoną na dezertera nagrodę, 100 franków. A ponieważ dopiero po upływie dni 30 ogłaszają żołnierza zbiegiem, więc trzymają dezertera, jeżeli go gdzieś pochwycą, zdala od garnizonu tak długo u siebie jako więźnia, aż minie przepisany miesiąc i odstawiają dopiero potem władzom francuskim. Beduini wogóle odznaczają się pod wielu względami nikczemnością w naszem pojęciu. Sławna arabska gościnność u nich nie istnieje, a przynajmniej nie dla Francuzów; są okrutni, podstępni, chciwi i przebiegli. Sprosność, sodomia, bestyalność i jak się wszystkie owe aberracye płciowe nazwają, zdarzają się u nich, dzięki islamowi polygamii i klimatowi południowemu, w którym takie zboczenia anormalna dojrzewają, bardzo często w formach tak rafinowanych i odrażających, że fantazya człowieka północy nie umiałaby ich nawet wymyślić, a przyzwoitość bliżej je charakteryzować zakazuje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W „Złotej księdze rycerstwa“ na czele wypisaćby należało nadzwyczajność szalonej odwagi tej garstki stupiędziesięciu bohaterów, zbrojnych w szable i rzucających się na przebój trzynastotysięcznej armii, ziejącej ogniem szesnastu armat. Polscy ułani przebili się przez te tysiące, wywołali popłoch w hiszpańskiej armii i chociaż dwie trzecie z nich poległo, zdecydowali o zwycięztwie, przeważyli je na korzyść francuzkiego oręża!... Książkę Fryderyka Massona czytałem z bijącem sercem, a strony jej odwracałem drżącą od wzruszenia ręki“.

J...sz.

Z literatury rusińskiej.

(Iwan Franko: **Son kniazia Światosława** (Sen kniazia Świętosława). Lwów 1895.)

Siedm czy osiem lat temu w dwutygodniku lwowskim „Ruch“ umieścił Iwan Franko piękną nowelę pod tytułem: „W pogoni za biedą“. Pan chcąc doświadczyć nędzy zostaje w cudowny sposób przemieniony w biedaka, i zachowując swą osobowość po zmianie zewnętrznej, przebywa wszystkie jego katusze i cierpienia.

Tak więc nietylko w literaturze spółczesnej i ubiegłej, ale nawet we własnym dorobku literackim pisarz rusiński znajdował sprężynę dramatu swego „Sen księcia Świętosława“. Nie masz tu wprawdzie zupełnej przemiany, ale jest przyjęcie innej roli wskutek widzenia. Motyw ten mieści utwór między kategoryą n. p. metampsychicznych legend buddhystów, gdzie bohaterzy często zupełnie zmieniają postać z chwilą wejścia na nową scenę, a dziełami, w których główny działacz przebiera się tylko, by dokonać powziętego zamiaru.

We drzwiach komnaty księcia kijowskiego Świętosława służalec Harnisz szamoce się z jakąś kobietą. Kto ty, czego chcesz? pyta. Muszę widzieć się z władcą, wyjaśnia tamta, pięć dni nań czekam, muszę go widzieć. I korzystając z osłabionego na chwilę oporu sługi, wśliguje się do pokoju, by siąść u ogniska. Ztąd, mocą praw gościnności, nikt jej nie oddali.

Równocześnie książę Kijowa wróciwszy z łowów wstępuje w progi swej sypialni. Spostrzegłszy obdartą żebraczkę chce wiedzieć, po co przyszła. Ma tajemnicę do odkrycia. Lecz nie wyjawi jej w obecności trzeciej osoby. Niech Harnisz wyjdzie.

Książę obrażony jej stanowczością odmawia posłuchania. Każe umieścić ją do jutra w jednej z sal zamkowych, załatwia kilka spraw administracyjnych (dnia jutrzejszego rozpocznie się sąd doroczny) i idzie na spoczynek.

Kobietę poznał, to żona Owtura, jego bojarzyna, skazanego za zabójstwo na banicyę. Żal mu biednej opuszczonej białogłowy, żal drobnych dziatek. Muszę im pomóc, myśli. Odczytuje kilka stron świętej księgi, potem gasi światło i zasypia.

Mija pewien przeciąg czasu, w izbie cienie drzemią, od czasu do czasu Świętosław uroni słówko we śnie. Naraz komnata rozjaśnia się wspaniale, u łoża staje anioł, odchyla kotarę i mówi:

— Przebudź się księciu Świętosławie. Nie śpij i nie wahaj się. Wdziej czarną zbroję, przepasz miecz, dosiądź konia i jedź w szczere pole. Będziesz tej nocy kraść i rozbijać, — tak, chociaż księciem jesteś. W przeciwnym razie spadnie na ciebie wielkie nieszczęście.

Świętosław zrywa się, przeciera oczy, ale pomny widzenia, bierze pancerz, chełm i przyłbicę, chwyta za miecz i wyjeżdża.

Na tem kończy się akt pierwszy.

Rumak sam zanosi księcia do lasu. W zaroślach staje dęba i zrzuca jeźdźca. Pochmurno, błyska. W świetle błyskawicy Świętosław spostrzega naprzeciw siebie rozbójnika, właśnie Owtura. Uderzają na siebie, książę dzielnie wytrzymuje natarcie, odbija i powaliwszy zbójcę prosi o pozwolenie zaciągnięcia się do jego bandy. Zgoda. Co więcej, dziś obaj wraz z dwoma dobranymi towarzyszami ruszą rabować zamek Gostomysła.

Gostomysł tymczasem na jutro gotuje zdradę. Umówił się z księciem Nowogrodu Wszesławem, że korzystając z otwarcia sądów, pod pozorem zwiększenia orszaku książęcego ściągnie do Kijowa zastęp stronników, zawładnie osobą Świętosława, zmusi do uznania swego postępku Kijowian i gdy po kilku dniach hufce nowogrodzkie wejdą do stolicy, odda im władzę. Plan ów stanowi przedmiot rozmowy między Gostomysłem i jego żoną przed przybyciem Owtura do zamku i streszczonym zostaje ponownie w słowach, któremi wojewoda uspokaja żonę, gdy ta wpółsenna, spostrzegłszy w mrokach komnaty Owtura, wznosi okrzyk i opowiada, że widziała przed chwilą cień ojca, ostrzegający ją przed wykonaniem powziętego kroku. Owtur porzuca zamiar zrabowania zamku, jak cicho wśliznął się, tak cicho i zręcznie wymyka się, zapamiętawszy treść nieugiętych planów wojewody, głuchego na perswazye małżonki.

Już w pierwszych chwilach ponowienia znajomości z Owturem spostrzegł Świętosław, że ma w nieszczęsnym przyjaciela wybaczającego mu jego wyrok, zrozpaczonego zresztą i z rozpaczy uprawiającego rzemiosło zbójeckie. Jeszcze dobitniej przekonał się o tem teraz. Herszt zbójców ranił nocą jednego z jeźdźców, podążających na wezwanie Gostomysła do Kijowa. Jego ludzie znaleźli go potem w krzakach. Kunasz — tak nazywa się jeniec — wzięty na przesłuchy wyznaje, że jest stronnikiem wojewody, odkrywa znowu plan tegoż i wzywa rozbójników do podania wichrzycielowi pomocnej ręki. Zgadzają się, nawet Owtur nie jest od tego, lecz gdy Kunasz wyjawił hasło, jakie mają jego towarzysze, każe go powiesić, swoim zaś przypomina należne dla siebie posłuszeństwo, zwiera ich w rotę i mknie ku Kijowi. Rozumie się, by księcia ratować, nie gubić.

Gdy weszli do zamku, Świętosław w gromadzie zbójeckiej noszący nazwę Stawutura, zręcznie rozdziela mężów Gostomysła na kilka grup, jedne zwalcza, drugie bierze do niewoli, odkrywa rozbójnikom, kim jest, przebacza im a wojewodę i jego żonę wiąże, by oddać ich pod sąd. W Kijowie uderzono w dzwony, już ludność spieszy z pomocą. Następuje scena rehabilitacyi Owtura: okazuje się, że zabił bojarzyna Dobrynię, gdyż ów namawiał go wraz z Gostomysłem do zdrady, a bronić się nie chciał przed sędziami, by nie plamić imienia ofiary zkąd inąd zacnej i szanowanej. Jaką zaś tajemnicę miała do wykrycia jego żona, nie potrzebuję wyjaśniać.

Jako opracowanie wdzięcznej legendy „Sen księcia Świętosława“ robi miłe wrażenie. Scena zjawienia się anioła posiada nawet wiele wdzięku, rzecz rzadka u Franki. Sympatycznie zarysowuje się postać Świętosława, księcia łagodnego i roztropnego, wyposażonego w dobroć, wyrozumiałość, ludzkość. Obok niej stanąć może drugorzędna, lecz bardzo wiele życia posiadająca Przecława, żona Owtura, kobiecina poczciwa, dobra matka, życzliwa i oddana księciu.

Słabe są natomiast sylwetki rozbójników, Gostomysła i jego żony. Sceny z życia zbójeckiego blade, rzecz dziwna, bo pieśni o opryszkach karpackich, których dość znaczna ilość została już ogłoszoną, i które powinien był dramaturg przestudyować, poruszając temat pokrewny, zawierają wiele materyału psychologicznego.

Razi czytelnika ów brak wystudyowania charakterów. I epoka mogłaby być lepiej odtworzoną. Pisarze zachodu, Flaubert, Leconte de Lisle, Jacobsen nie wytrząsają jak z rękawa powieści historycznych z czasów rzymskich, greckich, indyjskich, lecz wgłębiają się w swój przedmiot, w kroniki, archeologię. „Salambo“ lata pochłonęła. Iwan Franko mógł z łatwością zastosować podobną metodę do swego dramatu. Z pewnością nie byłaby otruła jego postaci.

Są tam w stosunku do dwunastego wieku, w którym rozgrywa się akcya, neologizmy, które nie powinny były się zakraść. Przesława żąda od księcia, nim uchyli rąbka tajemnicy, „słowa“. Czy w XII stuleciu używano już „słowa honoru“? W innem znów miejscu galanteryjne zaprzeczenie. Książę: Ależ Świętosław nie wahał się zgnębić ciebie. Owtur: *Daruj mój towarzyszu*, bardzo wahał się, ale nie mógł inaczej. Gostomysł używa wyrazu „plan“, mówi o *sprężynach poruszonych*, — rozbójnik Pasiuta mówi do odprowadzających Kunasza: *delikatnie* go przywiążcie.

Pod względem scenicznym „Sen księcia Świętosława“ ma pewne zalety. Akcya rozwija się raźnie i żywo, biegnie jak dobrze kuty koń. Każda scena wiedzie naprzód. Lekki zaś prąd demokratyczny, płynący przez osnowę, usposabia życzliwie.

W. Bugiel.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ankieta w sprawie pracy kobiet.

II.

Zanim podamy dalsze sprawozdania z posiedzeń ankiety, której komunikaty robią wielkie wrażenie w całym kraju, odsłaniając takie bolączki, o jakich sprawozdania inspektorów przemysłowych albo zupełnie milczą, albo wyrażają się bardzo dyskretnie, musimy wspomnieć o interpelacyi, jaką spowodowały publikacye tej ankiety w wiedeńskiej Izbie handlowo-przemysłowej.

Na posiedzeniu Izby, dnia 3-go bm., wystósowało kilku członków do prezydyum interpelacyę, w której podniesiono, że do ankiety, ktora zasiada w lokalu tej samej Izby, nie powołano dotychczas ani jednego przedsiębiorcy. Wobec tego zeznania robotników mają charakter jednostronny i niekontrolowany. Ze sprawozdań widać, że do zeznań dopuszczono prawie tylko niezadowolonych robotników z takich zakładów, gdzie się dzieją jaskrawe nadużycia. Przedsiębiorcy muszą się zastrzedz, by z wyników ankiety nie wyciągano żadnych ogólnych wniosków i nie uważano tego materyału za niezaprzeczalny. Zapytują więc interpelanci, czy prezes Izby skłonny jest użyć swego wpływu w tym celu, by i przedsiębiorców dopuszczono do przesłuchania w tych samych kwestyach, co do których przesłuchiwano robotników.

Na tę interpelacyę odpowiedział prezes Izby, Mauthner, że sama idea ekspertyzy jest

dobrą i że leży to nawet w interesie przedsiębiorców, by nadużycia ustały i niezadowoleni byli zaspokojeni. W komisyi zasiadają nie sami tylko przewódzcy robotników i politycy socyalni, ale także przedsiębiorcy i urzędnicy państwowi. Komisya też uchwaliła w zasadzie przesłuchiwać przedsiębiorców. Prof. Philippowich przyrzekł zresztą, że przedsiębiorcy będą mieli możność wypowiedzenia swego sądu o wszystkich zeznaniach robotników.

D. 5 lm. na posiedzeniu ankiety przewodniczył poseł Pernerstorfer. Przesłuchiwano rzeczoznawczynie z fachu robót metalowych, w którym pracuje dużo kobiet Praca w tym zawodzie jest bardzo szkodliwą dla zdrowia, gdyż używa się tu siarki, kwasu saletrowego i kwasu solnego. Nieraz musi robotnica pół dnia bawić się jednym z tych kwasów. Podczas pracy i po pracy czuje silny ból głowy i ż łądka i inne dolegliwości. Wrzody na rękach są częste i robotnica wtenczas nie może pracować i zostaje wydaloną. Kwasy czepiają się nawet ubrania, a szczególnie robotnice pracujące przy galwanizowaniu użalają się, że ich ubranie po krótkim czasie rozpada się w strzępy.

Niektórych z tych niedogodności sanitarnych można by łatwo uniknąć, ale dla oszczędzenia czasu i kosztów przedsiębiorcy nie chcą tego robić. Dla pewnych działów pracy miesza się opiłki żelaza z kwasem siarkowym dopóty, dopóki się nie zaoksydują. Cząsteczki tej mieszaniny unoszą się w powietrzu. W pracowaniach napełnionych wyziewami rozmaitych kwasów i pyłem metalicznym robotnice jedzą obiad, przyczem dla umywania rąk w pracowni dla 30 robotnic jest jedna umywalnia. Wodę muszą sobie robotnice same przynosić. W innej pracowni nie dano im wcale umywalni, tak że musiały za własne pieniądze kupić sobie cebrzyk. W tymże zakładzie czyszczono lokal raz na 3—4 lat. Nadto lokal jest przepełniony, a w razie przybycia inspektora przemysłowego część robotnic ukrywają lub wysyłają z fabryki.

W pewnym wielkim zakładzie była dawniej szlifiernia umieszczona tak nie dobrze, że do wnętrza padał deszcz i śnieg. Dopiero niedawno, gdy pewien wydalony robotnik doniósł o tem do władzy, lokal naprawiono. W innej pracowni brud na podłodze leży miesiącami, a dopiero gdy się wdepce i utwardnieje, wykruszają go i wymiatają. Kobiety muszą wykonywać takie czynności, których nawet silni mężczyźni nie mogą wytrzymać. „Jabym wolał raczej pozostać bez chleba — mówił jeden rzeczoznawca — niżbym miał to robić.“ Robotnice, chociaż zazwyczaj lepiej płatne, wyglądają bardzo źle. Dzieci nieżywe rodzą bardzo często. Jedna robotnica, która jest w ciąży, musiała porzucić swe zajęcie, przy którem zarabiała 1 zł. 20 ct. tygodniowo, gdyż praca (niklowanie naczyń) jest dla niej za ciężką; pracuje obecnie za 75 ct. dziennie. Kobiety pracują zazwyczaj aż do chwili rozwiązania. Szczególnie szlifierki rzadko rodzą żywe dzieci. Rzeczoznawczyni miała już troje dzieci, lecz wszystkie nieżywe.

Płace w tym zawodzie są nieco wyższe niż w innych, wynoszą 5—8 zł. tygodniowo. Panują tu jednak okropne nadużycia co do dostarczania materyałów pomocniczych, jak polan, rzemieni, materyałów potrzebnych do szlifowania. Nadto cierpią robotnice dużo wskutek kar nakładanych za każdą drobnostkę. Werkfirerzy wymagają od nich podarunków. Czas roboczy jest bardzo nieregularny. Co do stosunków moralnych użalen poważnych nie było.

***

TO I OWO.

Pod adresem „Tow. Pomocy Naukowej.“

Bezprzykładne wystąpienie dyrekcyi „Pomocy Naukowej“ na ostatniem walnem zebraniu, — nieprzyzwoite wyrazy ciśnięte w twarz członkom tej instytucyi, a scharakteryzowane przez nas w poprzednim numerze, urwały dyskusyę przedwcześnie i nie pozwoliły wyczerpać całego materyału zażaleń, informacyi i projektów. Ze wszystkich stron Księstwa otrzymujemy w tym względzie bądź to polemiczne artykuły, gromiące ostro postępowanie dyrekcyi, bądź to wyrazy podzięki za „śmiałą krytykę“, bądź wreszcie ciekawe przyczynki do charakterystyki dyrekcyjnych manipulacyi i dążeń. Trudno wszystkim tym głosom udzielać gościny w łamach „Przeglądu“ — nie chcemy dorzucać paliwa do ognia wznieconego ręką dyrekcyi, przypuszczamy zresztą, że w las nie pójdzie nauka, którą zarząd „Pomocy Naukowej“ otrzymał na ostatniem walnem zebraniu.

Z licznych zapytań i zażaleń przesłanych redakcyi naszej przytaczamy tu tylko jedno. Aż do roku 1890 było w zwyczaju, że gdy ten lub ów członek dyrekcyi w ciągu roku wystąpił lub umarł, koledzy jego kooptowali samodzielnie nowych członków i na najbliższem walnem zebraniu przedstawiali ich do zatwierdzenia. W ten sposób wybór świeżych sił dyrekcyjnych uskuteczniała w samej rzeczy dyrekcya sama, bo względy delikatności nie pozwalały odmawiać zatwierdzenia urzędującym już kandydatom. W r. 1890 stosunki te uległy zmianie. Przewodniczący jednego z komitetów prowincyonalnych postawił wniosek, aby rokrocznie walne zebranie mianowało dwóch oficyalnych zastępców, którzy w razie ustąpienia lub śmierci któregolwiek z członków dyrekcyi zajęliby opróżnione stanowisko. W motywach swoich wnioskodawca zaznaczył wyraźnie, że należy złamać zasadę „koteryi i konfraterni“ w łonie zarządu, który tylko temu bramy swoje otwiera, kto względami jego i sankcyą się szczyci. Wniosek przyjęto prawie jednomyślnie i tak w r. 1890 jak 1891 wybierano dwóch zastępców. Potem jednak dyrekcya cichuteńko zamknęła uchwałę do biurka, członkowie o niej zapomnieli, nikt się nie upominał i „konfraternia“ zacierała ręce. Jest to bezprawie, które stanowczo usunąć należy. Żądamy nietylko, by dyrekcya publikowała przed zebraniem nazwiska ustępujących członków, lecz żądamy również, aby powrócono do nieprzedawnionej i żywej, choć sztucznie usuniętej uchwały z r. 1890.

Powtarzamy raz jeszcze, że panujące dzisiaj stosunki są w najwyższym stopniu anormalne, a dyrekcya przypomina zaiste owego francuzkiego kaprala, który w czasie plebiscytu w r. 1869 zwiastując podwładnym swoim powszechne prawo wyborcze, przsługujące nawet żołnierzom, tak mówił: „Możecie wybierać, kogo wam się podoba, ale biada wam, jeżeli głosować nie będziecie na pana kapitana. Rozumiecie?“

To jest opinia nietylko „Młodej Polski“ jak stara się wmówić w publiczność „Kuryer Poznański“, lecz zdanie olbrzymiej większości społeczeństwa. I niechaj sobie panowie z dyrekcyi i przybocznego ich organu „Kuryera“ raczą zapamiętać, że my wobec Towarzystwa nie występujemy nigdy jako stronnictwo, lecz przemawiamy jedynie w imię naszych indywidualnych życzeń i poglądów. Okrzyk „Kuryera“, że Młoda Polska ławą idzie, jest niezręcznym fortelem dla pomieszania pojęć i tem łatwiejszego łowienia ryb tłustych w zamąconej wodzie. Nie „Młoda Polska“, wielebny kolego, lecz wszyscy obywatele wychowani w duchu parlamentarnym i nie pozbawieni do szczętu logiki i sprawiedliwości spoglądają z niezadowoleniem na „kaprali“ z dyrekcyi. Naszem programowem dążeniem jest tylko budzić energię i odwagę, którą ty systematycznie zdusić się starasz.

* * *

Nowa gra towarzyska.

W jednym z salonów poznańskich dysputowano przed niedawnym czasem o figlach płatanych przez plotkę, a mianowicie o różnych przekształceniach, ktorym wieść jakakolwiek, z ust do ust niesiona, ulega. Rozmowa stała się poważną, zeszła wkrótce na tory psychologii ludzkiej, a w toku gawędy zaproponował jeden z panów obecnych następujący eksperyment:

Ne kawałku papieru, — mówił on — opiszę pewien fakcik wysnuty z fantazyi i przeczytam opowieść swoją jednej z osób obecnych. Ta powtórzy ją w sekrecie drugiej, druga trzeciej itd. W salonie znajduje się czternaście osób, ostatnia zobowiązana jest spisać wiernie to wszystko, co od 13-tej usłyszała, a następnie odczytamy głośno mój orginał i czternaste wydanie jego.

Towarzystwo się zgodziło, wszyscy obiecali uroczyście niczego tendencyjnie nie przekształcać i według najlepszej woli i wiedzy powtórzyć to, co usłyszą, a inicyator eksperementu spisał i odczytał jednej z pań obecnych następującą anegdotkę:

„Na wybrzeżach Helgolandu, wśród burzliwej nocy, udało się pewnej rybaczce ocalić od śmierci kapitana okrętu. Kapitan długo chorował, a przyszedłszy do zdrowia ogłosił, że pragnie poznać zbawicielkę swoją, by ją z wdzięczności za ocalone życie poślubić. Marya — takie było imię rybaczki — dowiedziawszy się o tem, zawołała siostrę swoją, Jadwigę, i rzekła: „Kocham innego, lubo ten inny jest tylko majtkiem prostym. Weź zatem moją chustkę czerwoną, którą w ową noc pamiętną miałam na sobie, idź do kapitana, powiedz mu, że ty jesteś zbawicielką jego, a zostaniesz wkrótce kapitanową“. — Tak się też stało. Kapitan poślubił Jadwigę, a Marya wyszła za majtka. W kilka lat później dopiero rzecz się cała wydała, bo gdy majtek za udział w rokoszu skazany został na rozstrzelanie, udała się Marya do kapitana, przekonała go przytoczeniem nader dokładnych szczegółów, że ona jest rzeczywistą zbawicielką jego, i wyjednała dla męża swojego ułaskawienie. Jadwiga, lękając się gniewu męża, uciekła“.

A teraz prosimy posłuchać, co czternasta z osób obecnych podała do wiadomości publicznej.

„Na wybrzeżach Hollandyi dwie siostry-rybaczki, Marya i Jadwiga ocaliły w ciemnej i burzliwej nocy dwóch rozbitków — pierwsza kapitana okrętowego, druga majtka prostego. Kapitan wróciwszy do zdrowia, ogłosił w gazetach, że pragnie poślubić zbawicielkę swoją. Marya jednak kochała się oddawna w owym majtku, którego ocaliła Jadwiga — a Jadwiga od chwili, w której ujrzała bezprzytomnego kapitana, zapomnieć o nim nie mogła. Obie siostry postanowiły zatem w porozumieniu z majtkiem, narzeczonym Maryi, oszukać kapitana. Jadwiga przedstawiła mu się jako zbawicielka jego i została wielką panią. Wkrótce jednak rzecz się wydała i kapitan rozgniewany żonę wypędził, a majtka na śmierć skazał. Marya jednak rzuciła się do nóg kapitanowi i wyjednała ułaskawienie dla męża.“.

Tak ludzkie opowiadania przekształciły historyę o kapitanie i rybaczce z Helgolandu, a zważyć wypada, że rzecz rozegrała się tylko w ciasnem kółku czternastu osób, z których każda natychmiast za

świeżej pamięci referowała innej usłyszaną anegdotkę, a znając cel eksperymentu, starała się jak najwierniej powtórzyć otrzymane wieści. W życiu zdarzają się znacznie dziwaczniejszę metamorfozy.

* * *

Lecznica.

Gdy przed rokiem mniej więcej grono młodszych lekarzy polskich powołało do życia pierwszą lecznicę w Poznaniu, powitaliśmy z radością powstanie tej humanitarnej instytucyi, której brak dotkliwie uczuć się dawał miastu naszemu. Ogłoszone obecnie sprawozdanie za rok 1895 przekonuje nas, że lecznica, prowadzona wzorowo przez dr. Pomorskiego i mająca na usługi swoje szerokie grono światłych i sumiennych lekarzy-specyalistów, zyskała sobie zaufanie w szerokich kołach społeczeństwa Z statystycznych wykazów, przedstawionych przez zarząd lecznicy, wyjmujemy cyfry następujące:

Konsultacyi udzielono w ogóle	3285.
z tych za wynagrodzeniem	2806
„ niepłatnych	280
„ dla członków kas	199

Niepłatnych konsultacyi udzielono przedewszystkiem ubogim miejskim.

zebrano wogóle	1922,50
wydano	2334,38

Niedobór w ilości 411,88 pokryty został przez składkę członków.

Wydano w szczególności:

na komorne	662,50
na zasługi	222,00
na gospodarstwo	146,15
na gaz	43,13
na opał	21,30
na urządzenie, instrumenta, bandaże i aptekę	1030,95
na druki i anonse	208,35
razem	2334,38

Chorych wszystkich było 1282, pomiędzy tymi na cierpienia:

wewnętrzne	477
kobiece	240
chirurgiczne	133
nerwowe	92
skórne	172
krtani, nosa i uszu	168

Operacyi mniejszych i większych z zakresu chirurgii, chorób kobiecych, nosa, krtani i uszu wykonano ogółem 127.

Nadmieniamy w końcu, że opłata za każdorazową poradę wynosi najmniej 50 fen. Osobom niezamożnym udziela się pomocy bezpłatnie. Ewentualną nadwyżkę przeznaczają lekarze ordynujący w lecznicy na cele dobroczynne.

Jest to więc instytucya czysto filantropijna, a lekarze ofiarujący jej usługi swoje, pewni być mogą, że ofiarna ich praca budzi najwyższe uznanie i szacunek w szerokich kołach publiczności.

* * *

Pomnik Mickiewicza.

Wielu czytelników zapytuje nas, jak właściwie stoi sprawa z pomnikiem Mickiewicza w Krakowie. Szczerze mówiąc, nie wiemy. Podobno p. Rieger przerabia figurę, podobno ma ją niezadługo ukończyć, podobno członkowie komitetu przypominają mu obowiązek pospiechu — innych *podobno* moglibyśmy przytoczyć jeszcze więcej, ale ile w nich tkwi prawdy, określić nie możemy. Sumując wszakże dotychczasowy przebieg całej tej nieszczęsnej sprawy, uważamy ją od początku aż dotąd za jeden wielki skandal, za objaw strasznego naszego niedołeżtwa w przedsięwzięciach społecznych i nieudolności w artystycznych. Zarówno ci, którzy ujęli kierownictwo w swoje ręce, jak ci, którzy mieli wykonać pomnik, dowiedli, że znaleźli się wobec zadania, przerastającego ich siły.

Z estrady i sceny.

Koncert śpiewaczki koncertowej p. Lillian Sanderson

dnia 12 marca rb.

Życie nasze muzyczne skostniałoby całkiem, gdyby od czasu do czasu z estrady koncertowej nie padł na nie cudzy promień w przelocie. Takim słonecznym promieniem muszę nazwać występ dzielnej śpiewaczki p. Sanderson, znanej poznańskim melomanom z dawniejszych u nas występów. Niestety! smutny to objaw, że tak mało przybyło na salę Lamberta słuchaczów, aby się ogrzać przy tem ożywczem cieple prawdziwego talentu, i przykro sobie przyznać, że „muzykalny“ Poznań znów świecił w całej pełni nieobecnością. Liczne nasze amatorki śpiewu solowego, uprawiające z zapałem utwory Tostich, Denzów et tutti quanti, a roszczące sebie pretensye do rzeczoznawstwa w kwestyach muzycznych, byłyby poznały i usłyszały niejedną perłę między wykonanemi pieśniami, i może zasmakowały więcej w piesniach Mozarta, Schumanna, Brahmsa, Moszkowskiego.

Co prawda, potrzeba do wykonania pieśni wymienionych autorów, prócz zdrowego głosu, znacznej inteligencyi muzycznej, o którą u naszych amatorów trudno.

Głos p. Sanderson nie odznacza się ani rozległością skali, ani też nadzwyczajną siłą, ale za to jak ten głos wszędzie starannie wyrównany, jaka wyraźna wymowa, jak dostrojona do tonu pieśni! Artystka odśpiewała z wdziękiem, uczuciem i wykwintnym humorem sporą wiązankę pieśni starszych i nowszych kompozytorów, jak miluchny Mozarta „Fiołek“, Schuberta sympatyczną „Lipę“, dalej kilka pieśni z cyklu Schumanna „Miłość poety“, Brahms'a filuterną „Serenadę“, Moszkowskiego smutną „Kołysankę“ i Loewego „Pieśń weselną“; ostatni utwór nie bardzo do głosu p. Sanderson się nadaje, przy pomocy jednak wyrazistej i z gustem do każdej sytuacyi zastósowanej mimiki wywarł mimo to wrażenie korzystne na słuchaczach, którzy tak za tę jak i poprzednie pieśni szczeremi dziękowali oklaskami.

W koncercie wziął także udział pianista p. Ed. Behm i prócz akompaniamentu do śpiewu, wykonał solo Haendla „Passacaglia“, Brahmsa groźną Rapsodyę G-moll, Schumanna „Aufschwung“ i z Jensena „Erotikon“ dwa melodyjne ustępy, raczej muzyczne ilustracye do słów zapożyczonych z greckich autorów: Galatei Sofoklesa i Elektry Teokritosa.

Liryczny nastrój jednak ostatnich utworów nie przyczynił się do urozmaicenia zbyt uczuciowego programu, dla tego też kompozycye, zawierające niemało szlachetnego piękna, przeszły bez wrażenia. Grze p. Behma brak przedewszystkiem lekkości i werwy i mimo rzetelnej muzykalnej inteligencyi i wniknienia w ducha i właściwości odegranych utworów, których wybór sam już zdradza wytrawnego i poważnego muzyka, — gra jego nie budzi takiego zajęcia w słuchaczu przeciętnym, na jakie zasługuje.

Edwin Jahnke.

Na Wyłomie.

(Wyzysk religii. — Kto jest nieprzyjacielem kościoła? — Autokrytyka. Caveant consules.)

Ile razy na zachodzie Europy rozlegają się skargi na to wstrętne targowisko, w które świat obecny się zmienił, — ile razy jakieś szlachetniejsze serce zanosi protest przeciw milionom szachrajów, frymarczących każdą świętością i każdym ideałem — ile razy pojawi się dzieło lub artykuł piętnujące ten faryzeizm rosnący, który patryotyzm i religię, wielkie Bogi i słońca wielkie, zaprzęga w służbę nizkiej prywaty i brutalnego egoizmu, — tyle razy rozlega się w prasie naszej i literaturze zdawkowy frazes, że to wszystko dzieje się tam gdzieś daleko, na zgniłym zachodzie, lecz u nas.... u nas raj idealny, kraina aniołów, gdzie do rzadkich wyjątków należy handlarz, ściągający bóstwa z ołtarzów, by w towar jarmarczny je zmienić. A przecież trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, jak ta zgnilizna rośnie i przenikać zaczyna cały organizm zaboru pruskiego.

Religia! — wielkie słowo! ile łez w jej obronie wylano u nas, ile zapału i bohaterstwa składano tam w ofierze, z jaką czcią głęboką wymawiano ten wyraz! Unosiła się ona nad narodem jak olbrzymia jasność, ku której ludzie wyciągali ręce i blaskiem jej dusze swoje krzepili, lecz z wstrętem odwróconoby się od tego, ktoby porwał brudną dłonią kramarza jeden z jasnych promieni, zmieszał go z prochem obłudy i spekulacyi lub zmienił w latarkę złodziejską, służącą do chciwego zysku. Tak było niegdyś... a dziś? Dziś ludzie patrzą spokojnie na skandaliczną frymarkę faryzeuszów i nie ma opinii publicznej dość uczciwej i dość potężnej, którąby zawrzała oburzeniem i kres położyła kramarstwu, spychającemu idealne wartości w niziny kupieckich rachunków i transakcyi.

Pierwszym przywódzcą tej roty i pierwszym rozsadnikiem laseczników szachrajstwa jest oczywiście znowu „Kuryer Poznański“. Polemikę z tem czasopismem zaliczam do najprzykrzejszych obowiązków swoich i często pomijam zupełnem milczeniem truciznę, która z tego źródła rozchodzi się w społeczeństwie i zabija resztki zdrowia moralnego w organiźmie naszym. Nieraz słyszę głosy: *„Guarda e passa!“*, nie krzyżuj szpady z maczugą! — nieraz usłucham tych głosów, lecz jakże milczeć zasadniczo tam, gdzie faktem jest udowodnionym, — i to jest najsmutniejsze — że wysokie sfery świeckie i duchowne sankcyonują zdrożną gospodarkę i otaczają ją najczulszą opieką. A w całej prasie codziennej jeden tylko „Orędownik“ odważył się postawić pod pręgierz opinii ten niesmaczny wyzysk religii, którym od lat wielu odznacza się „Kuryer“, mieniący się słusznie, czy niesłusznie, organem duchowieństwa. Odsądzanie przeciwników politycznych od wiary w Boga i katolicyzmu, grożenie klątwą i karami niebios każdemu, ktokolwiek w nikłej drobnostce inne niż program Kuryerowy zajął stanowisko, identyfikowanie interesów pruskiej monarynarki z kościołem i religią, — to stare dzieje, których tu powtarzać nie będę. W najświeższym jednak czasie posunięto zuchwałość tak daleko, że już nie redakcyę, lecz wprost drukarnię „Kuryera“ zrównano z dogmatem katolickim. Wiadomo jest powszechnie, że drukarnia ta sporządza odbitki z feljetonów Kuryerowych i spienięża je w Towarzystwie Czytelni ludowych. Przypadek zrządził, że na walnych zebraniach, w krytycznej dyskusyi nad świeżemi nabytkami Towarzystwa, rozlegały się raz po raz głosy, że nie wszystkie z wydawnictw Kuryerowych są zdrowym pokarmem dla ludu. Utwory to obce, — przekłady francuskich romansów, przesiąknięte cudzoziemszczyzną i zapachem półświatka. Gdy komentarze te, noszone długo z ust do ust szeptem trwożliwym, ozwały się na sali hotelu francuzkiego, jęknęła z bólu sakiewka „Kuryera“ i oto dla „sprostowania opinii“ ukazuje się w „organie duchowieństwa“ artykuł, odsądzający od uczuć i pojęć katolickich jedn-

go z najinteligentniejszych krytyków, który nietylko umiłował gorącą lud polski, lecz dusze jego bada od lat wielu i na podstawie wytrawnego ludoznawstwa nad dziełem oświaty pracuje. Więc katolikiem przestaje być ten, kto jakikolwiek z nakładów Kuryerowych uzna za nieodpowiedni dla polskiego chłopa, — więc walczy z religią i bezwyznaniowość szerzy wśród ludu ten, kto wnioskiem, projektem lub krytyką uszczupli o 100 lub 200 mr. dochody drukarni Kuryerowej! Niechaj nikt nie ośmieli się mówić, że czcionki „Dziennika Poznańskiego" są wyrazistsze od czcionków „Kuryera", bo klątwa spadnie na niego i słowo „Mason" zabrzmi mu nad uchem, — niechaj nikt nie głosi że anonse w „Orędowniku" większy wywierają skutek od inseratów „Kuryera", bo wrogiem Boga samego nazwie go „organ duchowieństwa" — niechaj każdy chwali papier, druk, korektę i wartość literacką „Kuryerowych" wydawnictw, bo najlżejsze odstąpienie od tej zasady wyrzuci go za progi Kościoła.

I o jedno jeszcze proszę czytelników moich. Jeżeli gdziekolwiek wystąpi prelegent i zamiast poważnego odczytu wypowie ramotę bez sensu, to głoście śmiało opinie wasze i nazwijcie rzecz po imieniu, ale jeżeli przypadkiem prelegentem niefortunnym będzie ks. Adamski, to milczcie, na rany Boskie, jak egipskie mumje, lub kwaśny grymas niezadowolenia ukryjcie w masce zachwytu i bijcie brawa bez końca. W przeciwnym razie ogłosi ks. Adamski w „Kuryerze Poznańskim" list otwarty i nazwie was „ludźmi bez wiary" i „niegodziwcami dogadzającymi swojej nienawiści ku duchowieństwu", a gdy mimo to nikt się nie ulęknie i nikt na obłudną pochwałę odczytu zdobyć się nie zechce, wtedy prelegent sam sobie napisze krytykę i własnym ją ozdobi podpisem. Natenczas społeczeństwo zdumione dowie się, że „w odczycie wszystko sumiennie było obmyslone, na podstawach gruntownych utwierdzone i na powagach oparte", — że był to „wywód psychologiczny, logicznie przeprowadzony i głęboko pojęta geneza idei piękna", — no! i podobnych cudaczności znajdzie tam nie mało. Krytyką ks. Adamskiego o ks. Adamskim będzie zachwyconym zawsze ...ks. Adamski. To też „Przegląd", jako żałujący grzesznik staje dziś przed „Kuryerem" i obiecuje uroczyście, że jeżeli kiedykolwiek za grzechy swoje będzie zniewolonym wysłuchać odczytu ks. Adamskiego, nie omieszka prelegenta samego o recenzyę poprosić. Wtedy niezawodnie przestanie uchodzić za masona i nic nie stanie na przeszkodzie jego wejściu do Królestwa niebieskiego.

Lecz żarty na bok. To szachrajstwo religią i katolicyzmem szerzy takie zgorszenie w szerokich kołach ludności, że z farsy zamienić się może w dramat poważny. Apelujemy więc do ks. arcybiskupa Stablewskiego, który wprawdzie oświadczył przed niedawnym czasem, że odpowiedzialności za artykuły „Kuryera" nie przyjmuje, lecz, zdaniem naszem, wpływ pewien na kierunek tego pisma wywierać może, — apelujemy do duchownych prezesów i opiekunów „Kuryera", aby raczyli nareszcie kres położyć bezprzykładnej demoralizacyi. Wyzysk religii i kościoła zemści się w pierwszym rzędzie na kościele i religii samej. Gdy społeczeństwo zrozumie, że Bóg, wiara i katechizm służą tym, którzy stróżami kościoła się mienią, za maskę dla nizkiego kramarstwa, pospolitych egoizmów i koteryjnych spekulacyi, wtedy gotowe zwrócić się nietylko przeciw szachrajom religii, lecz nawet przeciw dogmatom. Nie nadużywajcie świętości, bo lud subtelnych różnic nie rozumie i gardząc wyzyskiem świętości, gardząc rzekomemi sługami Chrystusa, których czyn każdy jest brutalną potwarzą i krwawą satyrą objawienia, zacznie pogardzać *samą* świętością. *Caveant consules!*

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

Odczyt. Jednym z najwybitniejszych momentów literackich bieżącego sezonu w Poznaniu był niewątpliwie odczyt mecenasa Bernarda Chrzanowskiego p. t. „Tesknota za krajem w literaturze polskiej". Tak pod względem obfitości materyału, jak uzasadnienia psychologicznego i formy odczyt ten wywarł na miejscowych kołach literackich i szerokiej publiczności nader korzystne wrażenie; poprzestajemy dzisiaj tylko na powyższej notatce ogólnikowej, bo udało nam się skłonić prelegenta do publikacyi odczytu swego w łamach „Przeglądu". Druk rozpoczniemy już w najbliższym numerze.

* * *

* Pan Kazimierz Langie z Krakowa, zapisany we wdzięcznej pamięci Wielkopolski, gdyż w znacznej części jego staraniom i jego niezmordowanej pracy w komitecie galicyjskim zawdzięczamy tak znaczny udział Galicyi w pierwszej subskrypcyi na Bank Ziemski, ogłosił świeżo własnym nakładem dwie cenne publikacye.

Pierwszą z nich jest: **„Wspomnienie o Antonim Marcelim Szymańskim,** oficerze wojsk polskich z 1831 r., zmarłym na emigracyi w Paryżu 1894 roku, — według opowieści jego samego i notat dostarczonych przez rodzinę, skreślił Kazimierz Langie" (w 8-ce, stron 32). Osobistość A. M. Szymańskiego mało jest znaną szerszej publiczności, a mianowicie młodszej generacyi, — a jednakże całem swem życiem, ciągłą myślą o ojczyźnie i pracą nad jej dobrem, zasłużył on na wdzięczne wspomnienie, jakie mu autor powyższej broszury poświęcił. Z prac naukowych ogłosił Szymański rozprawę: „O dawnem prawie granicznem" w Bibliotece Warszawskiej w r. 1841, — artykuł „o sołtysach" w Bibl. Warsz. z r. 1843, a w dawnym „Przeglądzie Poznańskim" z r. 1846 znakomitą pracę „O służbie wojennej włościan za dawnej Polski." Pomijając inne jego prace naukowe, które skłoniły Akademię krakowską w r. 1851 do przedstawienia go, niestety bez skutku, na profesora prawa polskiego po Helclu, który z przyczyny słabości katedry tej dłużej zajmować nie mógł, zaznaczyć należy działalność jego publicystyczną. Przez długie lata informował on dziennikarstwo francuzkie o sprawach polskich — i pisywał korespondencye do „Czasu", które tak były cenione, iż niejednokrotnie przedkładano je w przekładzie i ministerstwu francuzkiemu i samemu cesarzowi. Do wypadków roku 1854—56 i r. 1863 znajdzie czytelnik we „Wspomnieniu" cenne bardzo i ciekawe szczegóły.

Drugą publikacyą są: **„Pamiętniki niedoli Antoniego Langiego z lat 1849—1856".** Kraków 1896, w 8-ce, stron 144. Pamiętniki te malują nam w barwnych obrazach udział Antoniego Langiego (stryja wydawcy Kazimierza L.) w rewolucyi węgierskiej roku 1849, — a następnie jego sześcioletnie więzienie naprzód w Peszcie, później w kazamatach Ołomunieckich. Potomność czytać będzie te i tym podobne pamiętniki tak, jak my dzisiaj czytamy prześladowania chrześcian przez Nerona. Truno prawie uwierzyć, by złość i nikczemność ludzka zdobyła się na takie znęcanie się nad ludźmi, których jedyną winą była gorąca miłość ojczyzny. Ale tu się sprawdza, że homo homini lupus. Młodsza generacya powinna rozczytywać się w tego rodzaju pamiętnikach, aby z nich poznać, jakie to ofiary składały tysiące ludzi na ołtarzu ojczyzny. Myśl o tych bohaterskich poświęceniach powinna krzepić i budzić zapał do têm większych wysileń dla dobra kraju, który dzisiaj nie wymaga tak krwawych ofiar, ale ma prawo żądać ciągłej, natężonej pracy, — mniej niebezpiecznej i groźnej, ale nie mniej skutecznej ofiary — z mienia i zdolności. *(C.)*

* * *

* **Choroby umysłowe u dzieci.** „Gaz. Lekarska" zdaje sprawę z ciekawej książki H. Conradsa p. t. „Choroby umysłowe u dzieci". Statystyka chorób umysłowych u dzieci w okresie dojrzewania z wielu względów jest trudną, a więc i niedokładną, poprzestać trzeba na cyfrach, wziętych ze szpitali. Próbowano zebrać odpowiednie dane przy spisach ludności, praktyka nauczyła, że rodzice zwykle tają choroby swych dzieci, zwłaszcza dziewcząt. Najważniejszą z przyczyn chorób umysłowych jest dziedziczność a następnie wychowanie. Ważny ten ustęp polecamy uwadze rodziców i wychowawców.

„Wychowanie tak zbyt pobłażliwe, jak i zbyt surowe, a głównie zmuszające zbyt wcześnie dzieci do życia niezdrowem życiem dorosłych sprzyja powstawaniu chorób umysłowych. Na wpływ szkoły zwrócił już Piotr Frank (r. 1804) uwagę; dziś uważać należy, że dzieci duchowo mało odporne nie powinny wspólnie ze zdrowymi się uczyć; inne wymagania i inny system są dla nich niezbędne. Zdrowego duchowo dziecka przeciążenie szkolne do psychozy nie doprowadzi, jednakże „werbalizm", sztuka wpajania w mózgi uczniowskie wielkiej liczby faktów, imion, cyfr, w nauczaniu dziś panujący, jest wielkiem złem i odbija się ujemnie na zdrowiu duchowem dzieci. Motywy psyhiczne, jak: bojaźń, uczucie wstydu, zmartwienie, zgryzoty, przestrach, sprzyjają powstaniu chorób umysłowych."

Pomijamy całą definicyę chorób nerwowych, jako zbyt dla nas specyalną. Główne miejsce zajmuje tu epilepsya, histerya, pląsawica, melancholia, hypokondrya, gadatliwość, swawola, hałaśliwość, szukanie samotności, zaduma i wreszcie t. zw. braki duchowe, jak: głupowałość, idyotyzm i kretynizm. Również często spotyka się t. zw. „moral insanity," zboczenie prawie zawsze na gruncie dziedzicznym powstające. Główną jego cechą jest nadmierny egoizm i zboczenie uczuć. Zdolności umysłowe są zwykle upośledzone (więcej chytrości niż rozumu). Jako środki zapobiegawcze autor zaleca:

„1) Powstrzymanie osób umysłowo osłabionych od wstępowania w związki małżeńskie. 2) Walka z alkoholizmem. 3) Wstrzymanie się nowożeńców od libacyi na uczcie weselnej (pierwsze dziecko). 4) Pilne wychowanie dzieci: mamka niech nie pije; dziecka nie „wzmacniać" winem; zwracać uwagę na ruchy onanistyczne już u najmniejszych dzieci; nie straszyć dzieci „strachami"; nie rozwijać zdolności umysłowych przedwcześnie. Wychowawcy (rodzice i nauczyciele) wiedzieć powinni o możności istnienia chorób umysłowych (różnego natężenia) u dzieci.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. W położeniu Włochów w Afryce nastąpiła pośrednio przynajmniej zmiana ku lepszemu ze względu na przyłączenie się Anglii do akcyi wojennej. — W parlamencie francuzkim pojawił się wniosek o zaniechanie wszechświatowej wystawy w roku 1900. Wniosek ten odrzucono znaczną większością głosów. — Proces z powodu przedwczesnego ogłoszenia przez

socyalistyczny „Vorwärts“ manifestu cesarskiego z dnia 18 stycznia ukończył się onegdaj przed sądem okręgowym berlińskim. Przeciwko trzem osobom, które odnośny dokument usunęły z drukarni Mittlera i syna i przesłały go „Vorwärtsowi“, wystąpił, jako oskarżyciel, nadprokurator Drescher. — Z powodu skandalicznych rewelacyi o gospodarce niemieckiej w koloniach afrykańskich złożył dr. Peters urząd prezesa w niemieckiem tow. kolonialnem i zażądał wdrożenia przeciwko sobie śledztwa dyscyplinarnego. — Według najświeższych informacyi nie spowodował klęski pod Aduą wyłącznie sam Baratieri, bo na radzie wojennej ad hoc odbytej nieomal wszyscy jenerałowie i wyżsi oficerowie naglili go do rozpoczęcia akcyi zaczepnej.

Teatr i muzyka. W czwartek dnia 26 marca wystąpi na sali Lamberta powtórnie młody skrzypek Piecznikow, Rosyanin, o którego dzielnej grze tak pochlebny w naszem piśmie wydaliśmy sąd. Na koncert ten zwracamy dziś szczególną uwagę naszych czytelników. — Czwartek najbliższy jest dniem benefisowym jednej z najsympatyczniejszych artystek poznańskich, pani J a k u b o w s k i e j. Talent tej artystki u nas rozwinął się i dojrzał, a porównując jej pierwsze nieśmiałe debiuty na scenie naszej z grą swobodną, wytworną i szczerą obecnej chwili, składamy ręce do oklasków nietylko jako lubownicy piękna, lecz jako starsi przyjaciele, pod których okiem z pączka skromnego kwiat barwny wystrzelił. Pani Jakubowska wybrała na swój benefis pięcioaktową komedyę Kneisla (przekład St. Sczanieckiego) pt. „Córa piekła“. (Belials Tochter). Utwór ten starszej już daty otrzymał w swoim czasie pierwszą nagrodę na jednym z konkursów niemieckich i doznał u publiczności nader przychylnego przyjęcia. Wesoły, interesujący i żywy, nastręczy on w tytułowej roli beneficyantce wdzięczne pole do artystycznego popisu. — Onegdajszy benefis pani Skirmuntowej zgromadził w teatrze dość liczną publiczność, oklaskującą serdecznie dawną primadonnę opery poznańskiej. — W „Dwóch światach“, wznowionych na scenie naszej, zajaśniała znowu w pełnym blasku gra panny Pankiewicz, zawsze subtelna, umiejętnie cieniowana i, mimo niewyraźnej wymowy, zasługująca na miano prawdziwego artyzmu. — Z początkiem kwietnia kończy się sezon teatralny w Poznaniu. Część artystów pod wodzą pp. Jakubowskiego, Skoraczewskiego i Czternastego wyjeżdża na prowincyę, — reszta udaje się do Warszawy, Petersburga, Kalisza i Lwowa, a mianowicie pp. Knapczyński i Grabowiecki, oraz panie Vernon, Pankiewicz, Jakubowska i Knapczyńska. — Trupa teatralna bawiąca w Piotrkowie, wystawić ma orginalną sztukę p. St. Łampieńskiego p. t. „Córka zawiadowcy“.

ODEZWY.

Z prośbą o zamieszczenie odbieramy następujące odezwy:

I.

Z końcem maja roku bieżącego wyrusza z Göteborga ekspedycya p. p. Andrée i Ekholm. Celem tej ekspedycyi jest Spitzberg, zkąd pp. Andrée, Ekholm i Strindberg mają wyruszyć balonem na północ do bieguna północnego.

Świat naukowy nietylko Szwecyi i Norwegii, ale i całej Europy zainteresowany projektem pp. Andrée i Ekholma, postanowił przyjąć w tej ekspedycyi udział, a Towarzystwa geograficzne i naukowe w Anglii, Niemczech, Francyi i Ameryce etc., wysyłają swych przedstawicieli. Kilka okrętów, przeznaczonych dla turystów rozmaitych narodów, wyrusza równocześnie, by towarzyszyć śmiałym podróżnikom na Spitzberg.

Niżej podpisani, chcąc, by — choć pośrednio — w epokowej tej ekspedycyi i nasi uczeni udział przyjąć mogli, mają zamiar, w razie jeśliby się odpowiednia liczba zainteresowanych zgłosiła, wysłać specyalny okręt.

Dla dopięcia naszego zamiaru, chcielibyśmy się poprzednio zapewnić, że odpowiednią liczbę turystów, co najmniej trzydziestu, będziemy mieli. Prosimy przeto tych, którzyby do wycieczki tej, bądź w celach naukowych, jako to: geografowie, geologowie, botanicy, etnografowie, fizycy, astronomowie i meteorologowie, bądź jako turyści zaliczyć się chcieli, by wcześnie, już przed 10 kwietnia b. r, o tem niżej podpisanych uwiadomili.

Zwracamy także uwagę, że podróż na Spitzberg nietylko z powodu ekspedycyi pp. Andrée i Ekholma jest ciekawą, lecz daje równocześnie rzadką sposobność zwiedzenia słynnej z wspaniałych krajobrazów północnej części Norwegii. Okręty bowiem ekspedycyi zatrzymywać się będą we wszystkich portach przez czas dłuższy.

Podróż potrwa 6 do 7-iu tygodni. Koszta nie przewyższą sześciuset rubli (1320 marek) na osobę wraz z całkowitem utrzymaniem. Specyalny program i wskazówki na żądanie wysyłamy. Gotowi także jesteśmy ułatwić podróż do Göteborgu ze Stockholmu i z powrotem.

Nakoniec zwracamy uwagę, że okręt wynajęty w powyższym celu, zostaje w wyłącznem naszem rozporządzeniu, możemy się przeto zastosować do woli pasażerów, chcących zwiedzić tę lub ową okolicę.

Polowanie na renifery, lisy, niedźwiedzie i na różnego gatunku ptactwo, sport wycieczkowy na *ski* i na łyżwach w głąb wysp Spitzbergu, zachęcą zapewne do udziału w tej wyprawie tak doniosłego znaczenia dla nauki. W przekonaniu, że w kołach uczonych Europy wschodniej, w Rosyi wraz z Królestwem Polskiem, w Austryi i Rumunii znajdziemy dostateczną liczbę osób, która się zainteresuje tą niebywałą i jedyną w kronikach naukowych wycieczką, oznaczamy na dzień 10 kwietnia r. b. ostatni termin zapisów.

NB. W tym roku 8 sierpnia wypada całkowite zaćmienie słońca, widoczne w północnej części Norwegii. Astronomowie i meteorologowie będą więc mogli pozostać w Norwegii dłużej i zjawisko na miejscu obserwować.

Dr. J a n R o s z k o w s k i, Docent fizyko-chemii.
A l f d e P o m i a n, Członek Tow. Geogr. Antropolog. szwedzkiego w Stockholmie.

Adres: Engelbrektsgatan Nr. 31 A. Suede — Stockholm.

M a r z e c 1896.

Księgarnie Wnych P. P. Gebethnera i Wolffa w Warszawie, G. Gebethnera i Sp. w Krakowie, Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, Grendyszyńskiego w Petersburgu, pośredniczą w nabywaniu biletów i udzielaniu informacyi.

II.

W mieście naszem jest co najmniej trzy tysiące biednych dzieci szkolnych, uczęszczających do szkół tutejszych ludowych bezpłatnych. Rodzice ich ciężko pracując na chleb powszedni, nie są w stanie ani należycie ich przyodziać, ani dać odpowiedniego pożywienia, niezbędnego do rozwoju sił fizycznych młodocianych. Przytem mieszkania, jakie najmują na poddaszach lub w suterynach, wcale się nie przyczyniają do ich zdrowia,

W innych wielkich miastach to samo się dzieje; dla zaradzenia choć w części temu smutnemu położeniu i dla ratowania tych biednych dzieci znaleźli się gorącego serca ludzie, którzy tworzą kolonie wakacyjne, żeby dzieci te podczas wakacyi odetchnęły świeżem powietrzem po za miastem i odżywiły się choć prostym, ale zdrowym pokarmem.

U nas położenie i stan tych dzieci jeszcze gorsze. Nie chcemy się rozwodzić nad powodami tego, bo wszystkim są znane. Społeczeństwo nasze, uznając te smutne stosunki, otwierało gościnne swe domy dla tych maluczkich biedaków.

Towarzystwo „Stella“ zwróciło także na to baczną uwagę i na swem walnem zebraniu uchwaliło zaprowadzić kolonie letnie, aby wysyłać dzieci na świeże powietrze pod dozorem umiejętnego kierownika.

Nie wątpimy, że całe społeczeństwo poprze nader sympatycznie nasze zamiary i nie pożałuje grosza wdowiego dla tych maluczkich. W pierwszej linii odzywamy się do Polek, które zawsze popierają gorąco i serdecznie to, co szlachetne.

Rozpoczynamy więc, jeszcze raz powtarzamy, pewni poparcia całego społeczeństwa sprawę, a w miarę jak tylko fundusze odpowiednie będą złożone, przystąpimy do otwarcia pierwszej kolonii wakacyjnej i tak następnie.

P o z n a ń, 18 marca 1896.

Albin A n d r u s z e w s k i, prezes. Hr. E n g e s t r o m, zastępca prezesa.
St. T r z e c i a k o w s k i, sekretarz. Bol. Z i ę t k i e w i c z, skarbnik.
Franciszek Dobrowolski. Czesław Foerster.
Aleksander Januchowski. Franciszek Krysiak.
Stanisław Rakowski.

(Dalsze wiadomości i szczegóły w tej sprawie będziemy komunikowali następnie).

BŁĘDY JĘZYKOWE.

W polskim języku mamy tylko jeden zwrotny zaimek osobowy i dzierżawczy na wszystkie trzy osoby i liczby, czy to mnogie, czy pojedyńcze; osobowy: siebie, się, sobie itd., dzierżawczy: swój, swoja, swa, swoje, swe itd. Osobowego zwrotnego zaimku używamy, można powiedzieć, prawidłowo; tymczasem zamiast zwrotnego zaimka dzierżawczego używamy w liczbie mnogiej i pojedyńczej pierwszej i drugiej osoby dzierżawczego zaimka niezwrotnego, zamiast „swój“ mówimy: mój, twój, nasz, wasz; znaczy to tyle, jakbyśmy zamiast „swój“ w trzeciej osobie używali: jego. Zdaje się, jakoby niektórzy uważali zwrotny zaimek dzierżawczy za wyłącznie przynależący do trzeciej osoby, a przecież nikt nie powie: „wybrałem mnie kapelusz“ tylko: wybrałem s o b i e kapelusz“, nikt nie powie: „wystarczcie w a m sami,“ lecz: „wystarczcie s o b i e sami.“

Błąd ten popełniamy wszyscy, od szczytów wyrobionych pisarzów do nizin literackich. Niektórzy odpierają zarzut twierdząc, że Polak zamiast „swój“, kładzie: mój, twój, nasz, wasz, dla nacisku, np.: „Weź twój kapelusz, nie mój“, zamiast: „weź swój kapelusz.“ Jest to błędne uzasadnienie. Nacisk w języku polskim wyraża się przez użycie dłuższych form: swojego, nie swego itd., i przez kładzenie ich przed rzeczownikiem, do którego należą, lecz nie potęguje się go przez powtórzenie i zaznaczenie osoby już w „słowie“ zawartej. Kiedy się nacisku na zaimek nie kładzie, używa się formy krótszej, stawiając ją po rzeczowniku, do którego się odnosi, albo po przymiotniku zależnym również od owego rzeczownika.

Przy dobrej chęci i wytrwałości można się od błędnego używania zaimków niezwrotnych w miejsce zwrotnych w krótkim stosunkowo czasie odzwyczaić. Poczucie językowe wnet obudzi się w tym przypadku i wydelikatnieje.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

X. Y. Talent pański dojrzewa widocznie. „Wiosenna nuta“ pod względem formy wyróżnia się nader korzystnie od innych utworów, nadesłanych dawniej redakcyi naszej. Obrazom jednak brak jeszcze świeżości, a język nie jest dość muzykalny.

Mascotte. W tym względzie udzieli chętnie informacyi nasz referent muzyczny p. Edwin Jahnke. Prosimy pofatygować się do niego osobiście.

St. K. Nie rozumiemy pańskiej pretensyi. Wskazaliśmy źródło, z którego pan niezawodnie otrzyma pożądane wiadomości, ale trudno nas winić, że nie możemy podjąć się pracy wymagającej kilka godzin studyów bibliotecznych. Redakcya chętnie ofiaruje usługi swoje abonentom, nie należy jednak nadużywać cudzej uprzejmości.

P. w Berlinie. Stałego korespondenta już posiadamy. Artykuł o teatrach berlińskich przyjmiemy chętnie, jeżeli posiada kwalifikacye literackie.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28